

Wejherowski Konkurs Literacki

Powiew Weny

*Nigdy nie wie się, co poradzić z tym krzykiem,
co odzywa się w nas samych.*

Czesław Miłosz



Miejska Biblioteka Publiczna
im. Aleksandra Majkowskiego
w Wejherowie

WEJHEROWO 2024

Miejska Biblioteka Publiczna
im. Aleksandra Majkowskiego
w Wejherowie

XIX Wejherowski Konkurs Literacki

POWIEW WENY

pod patronatem
Prezydenta Miasta Wejherowa

WEJHEROWO 2024

W y d a w c a:

**Miejska Biblioteka Publiczna
im. Aleksandra Majkowskiego
w Wejherowie**

Opracowanie i skład komputerowy:
Henryk Połchowski

Korekta: Krzysztof Powałka, Iwona Blok
Projekt okładki: Henryk Połchowski

Druk i oprawa:

ISBN: 978-83-974071-0-7

Wejherowo 2024

Drodzy Czytelnicy!

Patron literacki 2024 roku Czesław Miłosz napisał, że „Nigdy nie wie się, co poradzić z tym krzykiem, co odzywa się w nas samych.” Ten cytat polskiego noblisty, który nieobcy jest niemal każdemu człowiekowi zmagającemu się w trudnych sytuacjach życiowych z nurtującymi go problemami, wybrany został mottem XIX edycji Wejherowskiego Konkursu Literackiego. W efekcie posłużył za źródło inspiracji twórczej dla 37 uczestników konkursu w kategoriach poezji i prozy dla dwóch grup wiekowych – młodzieży uczącej się w szkołach średnich oraz dla dorosłych.

Jak powiedziała Ewelina Magdziarczyk-Plebanek - dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej w Wejherowie, podczas ogłoszenia wyników konkursu, dzień ten nazwała świętem literatury w Wejherowie, gdyż pokazuje że wena literacka w naszym regionie, ma się świetnie zarówno wśród młodzieży, jak i dorosłych. Można pokusić się nawet o stwierdzenie, że „Powiew Weny” zgromadził najlepszych i najodważniejszych twórców z naszego miasta i województwa, którzy postanowili zasiąść przez pustką kartkę i ekranem komputera, aby spróbować swoich sił i możliwości twórczych w konfrontacji z innymi i poddać się krytyce jurorów.

Cieszy fakt, iż tak wiele osób zdecydowało się uchwycić swoje emocje i przemyślenia pod wpływem motta i literackiej weny. Podkreśla to fragment wypowiedzi jednego z autorów, który w swojej pracy nadesłanej na konkurs napisał, że „piszemy, bo jesteśmy dziećmi spragnionymi zrozumienia. Piszemy, bo słowa odzywają się głęboko w nas.“ A przecież to nic innego jak wyzwanie duszy literackiej wołającej o zauważenie czegoś, czego nie dostrzegamy w natłoku spraw i być może przechodzimy obok tego obojętnie, choć przecież tak być nie powinno.

Jestem przekonany, że każdy z uczestników konkursu zostawił w swoim dziele część siebie - swoją pracę, wrażliwość i swój talent. Także marzenie o nagrodzie czy sukcesie, co jest czymś naturalnym. Sukces zawsze dopinguje, wyzwala

energię i zachęca do dalszej pracy. Stanowi również zobowiązanie, bo posiadanych zdolności nie powinno się zmarnować. Wręcz przeciwnie, należy je rozwijać i pielęgnować, by dać sobie szansę. Trzeba pamiętać, że droga do literackiego sukcesu jest długa i wyboista, a każde przemyślane i napisane zdanie przybliża do celu.

Wyrażam zadowolenie, iż autorzy wielu bardzo interesujących utworów literackich nadesłali je z różnych stron naszego województwa w tym m.in. z Gdańska, Słupska, Tczewa, Wejherowa, Rumi, Redy, Lęborka, a także z Kępc, Wicka czy Pętkowic. To obrazuje szerokie zainteresowaniem Powiewem Weny, który przyczynia się do promocji grodu Wejhera.

Przy okazji warto zauważyć, że dobór osób komisji konkursowej, nie był przypadkowy, gdyż w gronie tym zasiedli pisarze, poeci, dziennikarze oraz działacze kultury tacy jak: przewodniczący jury Daniel Odija ze Słupska, Ewelina Magdziarczyk-Plebanek – dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej w Wejherowie, Piotr Schmandt – z Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie oraz Henryk Połchowski z wejherowskiego Urzędu Miejskiego – związany z WKL „Powiew Weny”, jako juror, redaktor tomików pokonkursowych i pomysłodawca nazwy konkursu.

Z całego serca dziękuję wszystkim uczestnikom za udział w konkursie i serdecznie gratuluję, szczególnie laureatom. Dziękuję jurorom, którzy podjęli trud oceny nadesłanych prac, a także aktorom grupy teatralnej “Srebrna Nitka” z Wejherowskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku, którzy znakomicie zinterpretowali nagrodzone utwory, co dodało im artystycznego wybrzmienia, kolorytu i ekspresji. Jednocześnie zapraszam za rok do udziału w jubileuszowej XX edycji WKL Powiew Weny, któremu tradycyjnie będzie patronować Prezydent Miasta Wejherowa.

Z uszanowaniem

Prezydent Miasta Wejherowa
Krzysztof Hildebrandt

WYNIKI
XIX edycji Wejherowskiego Konkursu Literackiego
„Powiew Weny” z 21 listopada 2024 roku

PROZA

w kategorii - dorośli

I nagroda: za opowiadanie pt. *Kobieca logika*

- Monika Kubisiak z Wejherowa;

II nagroda za opowiadanie pt. *Zakład*

- Tomasz Magulski z Pętkowic.

III nagrody nie przyznano

w kategorii - młodzież

I nagroda za opowiadanie bez tytułu

- Weronika Chyła ze Starej Jani;

II nagroda za opowiadanie pt. *Niprzewidywalność życia*

Maja Kubisiak z Wejherowa;

III nagroda za opowiadanie pt. *Lśniące więzienie*

- Nina Scheucher z Lęborka;

POEZJA

w kategorii dorośli

I nagroda za wiersze pt. *Wędrując, Wieczór definicja, Deszcz*

- Magdalena Kubiak z Wicka;

II nagroda za wiersze pt. *Z dnia wojny, Żaloba, Nieobliczne słońce*

- Magdalena Borzeszkowska z Lęborka

III nagroda za wiersze pt. *Przypowieść o cichych świętych, ***, ****

- Grzegorz Chwieduk z Kępic;

III nagroda za wiersze pt. *Wiolonczela, Człowiekiem być, Julisz Cezar*

- Weronika Spławińska z Tczewa;

w kategorii młodzież

I nagroda za wiersze pt. *Mieszkanie dla emocji, żyję, taniec*

- Maria Stamirowska z Grzybna;

II nagroda za wiersze pt. *Po cóż mi to?, Umysł a fraszka, Wody*

- Jakub Swat z Gdańska;

II nagroda za wiersze pt. *Cichy szept, różne głosy, nieliczne krzyki,*

Krzyk bez głosu, To nie(moja) wina

- Julia Mrozińska z Rumi.

III nagrody nie przyznano

KOBIECA LOGIKA

Patrycja stała przed lustrem. Jej kruczoczarne, długie włosy lekko falowały, muskane przed powiewy wiosennego wiatru, docierającego do jej malutkiej łazienki przez otwarty lufcik. Oczy lśniły jej dziś tym blaskiem, którego od dawna już nie miała okazji zaobserwować. Na ich widok aż się uśmiechnęła, a na jej policzkach pojawiły się uroczne dołeczki. Tak, to miał być jej dzień. Pierwszy dzień nowego życia. TEN dzień. To właśnie dzisiaj miała przejąć stanowisko naczelnej w swojej redakcji. Czekwała na to od lat, wierząc nieustępliwie, że marzenia się spełniają. Że jej marzenie, które zakiełkowało, kiedy jeszcze była małą dziewczynką i pisała na kolanie notatki do szkolnej gazetki, a potem nie dawało jej spokoju, gdy próbowała studiować medycynę, też ma szansę stać się faktem. Czuła się wtedy taka ważna i potrzebna... jak nigdy i nigdzie. Zapłaciła za to marzenie wysoką cenę. Kiedy zrezygnowała z wymarzonych przez rodziców studiów, musiała z dnia na dzień zacząć radzić sobie całkowicie samodzielnie, a kontakt z mamą do dzisiaj był sporadyczny i dość oschły. Ojciec umarł niedługo po tym, podobno z jej winy... nie zdążyła mu wyjaśnić, zresztą nie chciałby słuchać.

I oto nadszedł moment, kiedy będzie mogła zacząć realizować to wszystko, co przez tyle lat planowała w głowie, konstruując tam misternie wizję nowej twarzy Gazety Porannej. Nie mogła dłużej czekać. Zbiegła ze schodów. Auto zaparkowała na szczęście blisko wyjazdu z garażu podziemnego. Słońce świeciło już mocno. Jego blask oślepił ją na moment, kiedy podniosły się drzwi garażu. I wtedy usłyszała huk. Zanim wzrok na nowo zaczął z nią współpracować i przesyłać do mózgu wyraźne obrazy tego, co dzieje się wokół, serce nieoczekiwanie rozpoczęło sprint, powodując uczucie duszności. Ostro wcisnęła hamulec. Samochód natychmiast zareagował, stając dęba na wysokości progu, mając nad sobą ścianę budynku. Wyskoczyła na zewnątrz.

Sama nie wiedziała, czy zrobiła to bardziej po to, żeby zaczerpnąć powietrza, czy aby ratować kobietę, która właśnie podnosiła się z ziemi tuż przed maską jej auta.

* * *

Piotr budził się powoli z krótkiego snu. Położył się wczoraj bardzo późno, bo pociąg, którym wracał z konferencji poświęconej zagrożeniom cywilizacyjnym wynikającym z ekspansji retrowirusów, miał duże opóźnienie. Częściowo po omacku wsunął stopy w kaptcie i skierował się do ekspresu licząc, że zapach kawy pomoże mu nawiązać kontakt z rzeczywistością. Na śniadanie nie miał ochoty, za to wyjął z szafy wieszak z koszulą i spodniami, jakich kilkanaście wisiało czekając na swoją kolej i udał się do łazienki, by już po piętnastu minutach wyjść z niej, będąc gotowym na kolejny dzień. Rozejrzał się po przedpokoju w poszukiwaniu kluczy, a namacawszy je w kieszeni kurtki, podrzucił jeszcze do góry. Niestety jego refleks po nieprzespanej nocy nie był jeszcze na właściwym poziomie i klucze spadły na ziemię, powodując niemały łomot na klatce schodowej. Piotr tym prędzej zamknął drzwi i oddalił się z miejsca, gdzie za chwilę z pewnością czekałoby go spotkanie z którymś z sąsiadów, a na rolę katalizatora czyichś porannych frustracji nie miał najmniejszej ochoty.

* * *

– Spokojnie, spokojnie, nic się nie stało. To moja wina, wbiegłam pani pod koła, nie rozejrzałam się. Proszę się nie przejmować, nic mi nie jest – mówiła kobieta, która chwilę wcześniej mogła stracić życie pod kołami SUV-a Patrycji. Powoli podnosiła się z ziemi. Wyglądało na to, że oprócz paru siniaków to zderzenie nie pozostawi po sobie widocznych śladów. Na moment zachwiała się, wzbudzając u Pati nagły niepokój, ale już po chwili na jej twarzy pojawił się uśmiech.

– To skok ciśnienia, niech się pani nie martwi. Naprawdę nic mi nie jest. Proszę, to moja wizytówka. Jeśli zauważy pani jakieś szkody na karoserii, proszę zadzwonić, dogadamy się. A teraz muszę już pędzić. Bardzo się spieszę. Jeszcze raz przepraszam – powiedziała szybko, wręczając zdezorientowanej Patrycji sztywną karteczkę ze swoimi danymi, po czym zaczęła się oddalać.

Pati spoglądała raz na znikającą sylwetkę swojej ofiary, raz na trzymaną w dłoni wizytówkę: Magdalena Wilk – asystentka zarządu, Votrhell. No cóż, niewiele jej to mówiło, za to spojrzenie na zegarek przekonywało, że to najwyższy

czas ruszać do redakcji, bo za moment ma szansę spóźnić się na pierwszy dzień nowego życia.

Wsunęła wizytówkę do kieszeni, siadła za kierownicą i już bez większych utrudnień miała zamiar pokonać resztę drogi do pracy. I zapewne tak by było, gdyby ruszając nie spojrzała w lusterko. Spod jej auta właśnie wyłoniło się coś błyszczącego. Po raz drugi ostro zahamowała i wysiadła z auta. Na ziemi zaraz za jej samochodem leżał portfel.

– No tak, na pewno jej wypadł jak upadła. Dobrze, że dała mi tę wizytówkę. Jak tylko będę miała chwilę spokoju to do niej zadzwonię i jakoś się umówimy. Skoro biegła tu z rana to pewnie mieszka gdzieś niedaleko – pomyślała Patrycja, po raz trzeci tego ranka odpalając samochód.

* * *

Zaraz po porannej naradzie Piotr postanowił jak co dzień zadzwonić do żony, żeby ustalić, kto dziś odbiera Franka z przedszkola. Od jej odpowiedzi zależały jego plany na popołudnie. Miał cichą nadzieję, że to jej kolej, bo miał dziś na oku wypad na kręgle z kolegami. Wreszcie wszyscy mają czas. Krzysiek niedawno wrócił z Tokio, przywiózł sake, mieli przy okazji zorganizować degustację. Co prawda przez ostatnie dni nie bywał w domu zbyt często, no dobrze, właściwie niemal wcale, ale ten jeden wieczór jeszcze ... może się uda. Potem będzie miał więcej czasu.

Ale ONA wciąż się nie zgłaszała. Ponury, powtarzający się w słuchawce sygnał w żaden sposób nie chciał się zakończyć. Spróbował jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze po godzinie, i po dwóch. Wciąż nic. Zaczynał się denerwować. Starał się rzucić palenie, ale w tej sytuacji nie zdołał się powstrzymać. W jego głowie, całkiem wbrew woli, zaczynały się pojawiać natrętne myśli. A co jeśli coś się stało? Dlaczego ona nie odpowiada? Może coś zrobił nie tak? Może jest obrażona? Nie przypominał sobie, żeby ostatnio o coś się pokłócili, ale... ktoś rozumie kobiety. Może gdzieś pomiędzy zdaniem doszukała się jakiegoś problemu i nie uznała za słuszne go o tym chociaż poinformować. *Sam się powinieneś domyślić* – zwykła mawiać. Jakby facet sam był w stanie zrozumieć pokrętną kobiecą logikę. To brzmi jak oksymoron.

Po kilku kolejnych nieudanych połączeniach zaczął się zastanawiać, czy ONA w ogóle była rano w domu, czy się widzieli? Prześledził w myślach przebieg dzisiejszego poranka, ale jej w nich nie znalazł. To jasne, że nie zaglądał do Franka, nie chciał go budzić, mógł jeszcze godzinę pospać. Ale ona? Nie potrafił jej zlokalizować w mieszkaniu, pewnie spała... a co jeśli nie?

Zadzwonił jeszcze raz. Znów nic.

* * *

Patrycja miała za sobą bardzo emocjonujący dzień. Tona gratulacji, które w zasadzie się spodziewała, pochłonęła chyba całą jej energię. Każdemu trzeba było przecież coś w miarę inteligentnie odpowiedzieć. Takie miłe z pozoru sytuacje zawsze ją męczyły. Mimo że pracowała wśród ludzi i nieustannie z nimi rozmawiała – za to jej w końcu płacili – była do szpiku kości introwertyczką. Najbardziej komfortowo czuła się sama ze sobą. Ewentualnie jeszcze ze swoim psem, bo nie zadawał pytań i nie trzeba było z nim dyskutować o sprawach, o których nie ma większego pojęcia, choć udaje całkiem coś innego. On był OK.

Zanim wyszła z biura, przypomniała sobie poranne zajście. Wizytówka wciąż tkwiła w jej kieszeni. Wyjęła ją i wybrała numer telefonu, który na niej widniał. Wygodnie usiała w swoim nowym fotelu i czekała na połączenie. Ale ono nie nadchodziło. Z komórki wciąż dobiegał ten sam dźwięk. Pati raz jeszcze sprawdziła, czy wybrany numer jest właściwy, po czym weszła do sieci. Szybko wyszukała nazwę firmy – Votrhell. Miała siedzibę całkiem niedaleko, może 3 minuty spaceru. To jakieś konsorcjum. Nie miała ochoty na więcej szczegółów, więc zarzuciwszy płaszcz, wybiegła z biura. Jej nowy celem była Wołoska 17.

* * *

Nagły dzwonek telefonu przyprawił Piotra o szybsze bicie serca. Zerwał się spod okna, przez które próbował wysledzić swoją żonę. Z dziewiątego piętra co prawda miał rozległy widok, ale zidentyfikowanie ludzi na dole przysparzało mu jednak sporych problemów. Był przekonany, że to wreszcie ona postanowiła naładować telefon. Może nie do końca przekonany, bo w zanadrzu miał jeszcze kilka mniej pomyślnych scenariuszy, mogących wyjaśniać brak jej obecności w sieci od dobrych kilku godzin, ale przez moment był skłonny je porzucić. Numer, który próbował się do niego dodzwonić był jednak nieznany. W odruchu

złości spowodowanym utratą nadziei miał ochotę rozbić telefon, ale szybko odrzucił ten pomysł, a moment później znów serce podeszło mu do gardła. Teraz na pierwsze miejsce wysunęło się podejrzenie, że coś się jednak wydarzyło. Zaraz się dowie co. A jak ona nie żyje? Ręce zaczęły mu drżeć. Zanim zebrał siły, żeby odebrać, opadł na krzesło..

– Słucham – cicho i niepewnie wybełkotał do telefonu.

– Dzień dobry, dzwonię z przedszkola. Czy to pan Piotr, tata Franka?

– Tak, to ja, coś się stało? Boże! – wykrzyknął chyba nazbyt głośno, nie mogąc już dłużej poskromić narastającego strachu.

– Nie, panie Piotrze, proszę się nie denerwować. Nic złego się nie stało, wszyscy są cali i zdrowi, tylko minęła 16, a Franuś cały czas jest w przedszkolu. Powinniśmy już zamykać.

– Ach – błagał w myślach o tego rodzaju wyjaśnienie. – Przepraszam, zaszło małe nieporozumienie, nie mogłem się skontaktować z żoną, to pewnie moja wina, nie wiedziałem czyja dzisiaj kolej odebrać Franusia. Już jadę, będę za 5 minut. Wynagrodzę to paniom. Zaraz jestem.

* * *

W siedzibie Vorthellu przywitała Patrycję uśmiechnięta recepcjonistka.

– Dzień dobry. W czym mogę pomóc? Czy jest pani z kimś umówiona?

– Dzień dobry. Nie, nie jestem umówiona. Znalazłam rano portfel osoby, która najprawdopodobniej jest u Państwa zatrudniona. Pani Magdalena Wilk. Asystentka zarządu. Mogłaby pani sprawdzić, czy aktualnie jest w pracy? Chciałabym go oddać.

– Już sprawdzam w komputerze – odpowiedziała recepcjonistka i sprawnie zaczęła klikać w klawisze klawiatury. – Muszę panią zmartwić. Pani Magdalena złożyła wypowiedzenie, od dzisiaj jest na zaległym urlopie. Z tego co widzę, nie planuje już powrotu do pracy przed końcem okresu wypowiedzenia. Chyba nie będę miała szans, żeby oddać jej ten portfel, przynajmniej w najbliższym czasie – odpowiedziała z wyraźnym żalem kobieta i dodała: – Szkoda, to była taka miła osoba.

W tych okolicznościach i Patrycja zrobiła strapiona minę widząc, że nie pozostało jej nic innego, jak tylko wycofać i się i wracać do domu. Zanim jednak

to zrobiła, już w aucie, zapaliła lampkę i postanowiła zajrzeć do portfela. Przyszło jej na myśl, że być może znajdzie tam jakąś wskazówkę, gdzie znaleźć Magdę. Może są jakieś dokumenty z adresem, może karta do bankomatu... Rozpoczęła poszukiwania i od razu mogła krzyknąć: *trafiony – zatopiony*. Już w pierwszej przegrodce znalazła potwierdzenie przelewu, a na nim adres kobiety. Faktycznie były sąsiadkami. Co prawda przez nią od rana mogła mieć bardzo poważne problemy, ale przez ostatnich kilka godzin nie mogła nie przyznać, że w niewyjaśniony sposób zbliżyła się do niej. A teraz miała w rękę jej adres i właśnie się wybierała ją odwiedzić. Nie wiedziała sama czemu, ale cieszyła się na to spotkanie. Może miała nadzieję, że da jej pewność, iż wszystko u niej w porządku, że jakieś urazy nie ujawniły się po ustaniu szoku spowodowanego uderzeniem, bo przecież bywa i tak.

Gdy wysiadała z auta, zauważyła, że pod jej nogami leży zielona karteczka. Schyliła się, żeby ją podnieść. Na skrawku papieru znajdował się niezbyt jasny dla Pati tekst: *Nigdy nie wie się, co poradzić z tym krzykiem, co odzywa się w nas samych*. I tyle. Musiała wypaść z portfela – pomyślała. Bez dłuższego zastanowienia włożyła ją do niego z powrotem i ruszyła pod wskazany adres.

Zanim skończyła rozmyślać o tej dziwnej i nieplanowanej relacji, stała przed jej drzwiami.

* * *

Otworzył mężczyzna. Nie tego się spodziewała, ale szybko dostosowała swoje wyjaśnienia do nowej sytuacji.

– Dobry wieczór. Czy tu mieszka Magdalena Wilk?

– Witam, tak, tak. Pani do niej? Zapraszam – odpowiedział, otwierając drzwi szerzej.

– Nie, nie będę wchodzić. Ja właściwie tylko na moment. Znalazłam rano ten portfel. Pozwoliłam sobie zajrzeć do środka i znalazłam ten adres. To chyba portfel pani Magdy. Chciałam go tylko oddać – wyjaśniła Pati.

– Faktycznie, to portfel żony, bardzo dziękuję. Przekażę jak tylko wróci. Panie się znają?

– Nie, właściwie nie, dziś rano spotkałyśmy się całkiem przypadkiem, potem zauważyłam ten portfel i pomyślałam, że musiał jej wypaść.

– Mogę zapytać, gdzie ją pani widziała? – zapytał mężczyzna.

To pytanie nie było na rękę Patrycji. Z jednej strony chętnie opowiedziałyby komuś całą tę historię, ale z drugiej... nie wiedziała, czy na pewno wszystko z nią w porządku, dlaczego on tak się wypytuje, może jednak coś nie gra? Czemu nie ma jej w domu, już dość późno? Przez dłuższą chwilę milczała, zastanawiając się, czy nie uciąć tej pogawędki, żeby zyskać czas na przygotowanie linii obrony. Wtedy on zaczął:

– Bo widzi pani, nie mogę się z Magdą od rana skontaktować. Martwię się. Bardzo się martwię. Takie sytuacje nigdy się nie zdarzały. Nie odebrała syna z przedszkola. Jej telefon wciąż milczy. Błagam, niech mi pani powie, co pani wie o Magdzie? Gdzie pani ją ostatnio widziała?

Pod Patrycją ugięły się nogi. Mężczyzna musiał zauważyć jej spanikowany wzrok, bo zaproponował szklankę wody, ale odmówiła. Wzięła głębszy oddech i spojrzała na niego. Miał w oczach łzy. I te łzy ją złamały. Czym był jej strach o własną skórę, którą zresztą wydaje się, że w razie konieczności da radę uratować, nawet gdyby się okazało, że obrażenia kobiety były poważniejsze niż się wydawało, przy jego lęku o życie żony? Przecież ona ma wszystko nagrane, tamta kobieta wbiegła jej pod koła. Pewnie trzeba będzie stawić się w sądzie, ale ten powinien ją uniewinnić, tam nie powinno być człowieka, a ona jechała wolno i prawidłowo. Boże, a jeśli ona chciała popełnić samobójstwo?

Dopiero teraz przyszło jej to na myśl. Jak mogła od razu o tym nie pomyśleć? Przecież powinna jej pomóc wtedy, natychmiast. Postanowiła mówić.

– Pani Magda rano wpadła mi pod koła jak wyjeżdżałam z garażu. Tutaj, niedaleko. Wstała o własnych siłach, mówiła, że nic się nie stało, bardzo się spieszyła, dała mi tylko wizytówkę. Potem znalazłam ten portfel i chciałam go zwrócić. Próbowałam dzwonić, ale się nie zgłaszała. Byłam u niej pracy, podobno złożyła wypowiedzenie i wzięła urlop. Zajrzałam do środka i znalazłam ten adres. Ot, cała historia.

Teraz to Piotr poczuł, że ziemia osuwa mu się spod nóg, a świat zawirował, jakby chciał go strącić w otchłanie piekieł, których drzwi wydawało mu się, że już się przed nim rozstępują. Przestał słyszeć, co dalej mówiła Patrycja. Nie wiedział nawet kiedy się oddaliła, zostawiając go samego w drzwiach, z JEJ portfelem w dłoni.

* * *

Krzyk Franka, dochodzący z małego pokoju, trochę go otrzeźwił. Odłożył portfel na stół i poszedł zobaczyć, co się stało. Franek żądał wieczornej bajki. Zwrócił mu też uwagę, że nie dostał kolacji, nie umył zębów i nie ma przygotowanych ubrań na jutro do przedszkola, a jedzie na wycieczkę do ZOO, mają zabrać jakieś przekąski i czy na pewno ma je spakowane, bo nie widzi, i gdzie jest mamusia, czemu jeszcze nie wróciła?

To Piotra przywróciło do rzeczywistości. Nigdy nie zajmował się sprawami Franka, zawsze ogarniała to Magda. Chcąc uniknąć odpowiedzi na ostatnie pytanie, szybko oznajmił, że idzie zorganizować coś do jedzenia, na co Franek ochoczo przystał. Zajrzał do lodówki, była właściwie pusta. Na szczęście kiedy wrócił do pokoju Franka, ten smacznie już spał wtulony w swojego ulubionego Stitcha. Bez umytych zębów, ale to było najlepsze, co teraz mogło mu się przydarzyć. Piotr zyskał trochę czasu, żeby zebrać myśli.

Najpierw szpitale. Skoro miała wypadek, mogła być w szoku albo stracić przytomność. Do tego nie miała przy sobie dokumentów, bo są w portfelu, zatem może leżeć gdzieś w szpitalu - niezidentyfikowana. Ten pomysł upadł jednak już po kilkunastu minutach, gdy obdzwonił wszystkie w okolicy możliwe placówki medyczne, które mogły coś w tej sprawie wiedzieć. Nie przewieziono dzisiaj żadnej kobiety po wypadku.

Potem zadzwonił do jej szefa. Znali się trochę, byli niedawno razem na imprezie. Tamta kobieta mówiła chyba, że Magda złożyła wypowiedzenie. Nic o tym nie mówiła. Fakt, rzadko się ostatnio widywali, ale przecież zawsze mogła zadzwonić. To poważna decyzja. Może coś się stało. Oskar jednak nic nie wiedział. Powiedział tylko, że ostatnio była jakaś smutna. Nie chciała nic wyjaśniać. Powiedziała tylko, że decyzja jest przemyślana i nieodwracalna. I zostawiła go na lodzie. Musi teraz szukać kogoś na jej miejsce, a to przecież szalenie trudne. Była niezastąpiona.

To Piotra odrobinę uspokoiło. Nie żeby się przybliżył do zrozumienia, co się właściwie wydarzyło, ale skoro Magda wcześniej złożyła wypowiedzenie i rano gdzieś biegła, to może nic jej się nie stało, może ona coś wcześniej zaplanowała. Może żyje, a to najważniejsze. Tylko gdzie jest? Zaraz, on mówił, że była smutna. Może ma depresję, może się leczy? Odpalił jej laptopa. Szybko złamał hasło.

Zawsze jej powtarzał, że powinno być nieoczywiste, ale to do niej nie docierało. Ta niefrasobliwość dziś umożliwiła mu na uzyskanie dostępu do jej dokumentów. Najpierw konto e-pacjent. Ostatnio była u lekarza 8 miesięcy temu, miała Covid. Nie ma śladów po antydepresantach. Więc to chyba też nie to.

Szukał dalej. Teraz poczta. Tu wśród wielu nieistotnych rzeczy znalazł e-mail z ofertą hotelu – sprzed miesiąca, ale oferta dotyczyła tego tygodnia. Romantyczny pobyt w Kazimierzu Dolnym dla 2 osób. To go zmroziło. Ona ma kochanka? Wszystko wydawało się jasne. Nie był gotowy na tak ostry zwrot wydarzeń. Otworzył okno, żeby zaczerpnąć powietrza, bo czuł, że się dusi. Świeże powietrze pomogło mu logicznie pomyśleć. Wszedł jeszcze raz w tego maila i przewinął w dół.

Droży Państwo, planujemy w mężem wyjazd z okazji 10 rocznicy ślubu. Chciałabym prosić o ofertę 3-dniowego pobytu w Państwa hotelu, pakiet romantyczny.

Rocznicy? Spojrzał na zegarek, był 27 kwietnia. Jak mógł zapomnieć? To wszystko przez tę konferencję, całkowicie go pochłonęła. A wcześniej projekt... Przecież mogła powiedzieć. Gdyby wiedział, coś by wymyślił i wrócił wcześniej, zawsze jest jakieś wyjście awaryjne. A teraz gdzie ona jest?

* * *

Kolejny strzał również okazał się nietrafiony. Telefon do hotelu, z którego otrzymała maila z ofertą, tylko dał mu do zrozumienia, jak daleko znalazł się od niej przez ostatni czas. Rezerwacja została anulowana, bo goście się nie stawili w wyznaczonym terminie. Zgodnie z regulaminem rezerwacji opłata przepadła. Ale dlaczego nic nie powiedziała? Pewnie czekała na jego ruch, a wtedy wyjęłaby z rękawa niespodziankę. Ona lubiła niespodzianki. Tylko tego ruchu się nie doczekała.

Nie mając dalszych topów zaczął przeglądać portfel, który przyniosła tamta kobieta. Dowód, prawo jazdy, potwierdzenie dokonania przelewu za ten felerny wyjazd do hotelu Król Kazimierz. Kilka banknotów. I jeszcze ta dziwna karteczka: *Nigdy nie wie się, co poradzić z tym krzykiem, co odzywa się w nas samych.* Co to mogło znaczyć? Wrzucił tekst w Google. To cytat z Miłosza. Ale czemu ona go tu nosiła?

Mimo, że dochodziła północ, zrobił sobie kawę i zaczął już nieco spokojniej myśleć.

Magda chyba nie była z nim najszczęśliwsza, chociaż on sądził, że zapewnia jej wszystko, czego potrzebowała. W sumie nie musiała nawet pracować, ale mówiła, że lubi być między ludźmi, to jej dodawało energii. Zapewniał jej wszystko oprócz siebie, bo na jego uwagę i czas liczyć już od dawna nie mogła. Ale on przecież chciał dobrze, nigdy nie wiadomo, co życie przyniesie, a dopóki jest szansa dobrze zarobić, trzeba się jakoś zabezpieczyć na gorsze czasy – tak zawsze mówili jego rodzice. Przecież to wszystko było dla niej i Franka. Co tu się wydarzyło? Wiedział, że jeśli szybko nie rozwiąże tej zagadki, zwariuje. Z poczucia winy i bezradności. *Magda, uratuj mnie jeszcze raz!* - krzyczał w myślach.

* * *

Tak minęły trzy dni, trzy długie dni bez niej. Miotał się od wściekłości, przez żal i nienawiść do siebie po rozpacz. Tak bardzo chciał jej dotknąć i przytulić, a nie miał pojęcia, gdzie jej szukać. W desperacji poszedł do biblioteki. Nigdy nie przepadał za książkami, które ona uwielbiała, ale teraz, ta karteczka z cytatem z Miłosza to był ślad, który mógł go do niej zaprowadzić. Musiał go jednak pojąć i zrozumieć. Jedyńm na to sposobem wydawało mu się przeczytanie tego Miłosza. To podobno z *Doliny Issy*, więc właśnie o tę pozycję poprosił.

Kiedy tylko wrócił do domu, otworzył książkę. Nie wyglądała zachęcająco, ale to go nie zraziło. Przekartkował ją. Gdy kartki biegły jedna za drugą, mignął mu przed oczami jakiś znacznik. Wrócił w to miejsce. Na zielono podkreślony był tak dobrze znany mu od kilku dni cytat: *Nigdy nie wie się, co poradzić z tym krzykiem, co odzywa się w nas samych*. Znieruchomiał na moment. Czy to możliwe, że ta książka była w jej dłoniach? – pomyślał. Przyłożył ją do twarzy i poczuł tak dobrze znany zapach perfum Diora. Boże! Magda! Chwyił za telefon.

– Dzień dobry. Byłem niedawno u Państwa. Pożyczyłem książkę Miłosza. Muszę wiedzieć kto ją miał przede mną. To bardzo ważne... Proszę mi pomóc.

Sekundy odtąd biegły jak szalone, a z każdą z nich jego entuzjazm opadał, a oczy zapadały się, gasząc płomienie, które na chwilę się tam zapaliły.

– Nie można, RODO, rozumiem. I nie ma żadnej możliwości... No tak..
– dziękuję. Do widzenia.

I znów zapadła cisza. Wtedy zauważył, że z książki wystaje luźna kartka. Wyjął ją. Chyba nigdy tak szybko nie pochłaniał druku. Nawet nie był świadomy, że w tym tempie można coś czytać ze zrozumieniem. Umowa najmu mieszkania, JEJ umowa, mieszkania w bloku naprzeciwko nich. Wiedział, że jeśli to będzie kolejny fałszywy trop, nie da sobie z tym rady. Już tam biegł, nawet nie zamknął drzwi.

Kiedy stał pod jej drzwiami, właściwie nie musiał pukać. Jego serce waliło tak mocno, że było je słychać chyba na całej klatce. Drżącą ręką nacisnął dzwonek. Po chwili zamek zachrobotał i w drzwiach stanęła ONA – Magda.

– Piotrek... Jak mnie znalazłeś?

– Madzia! Przepraszam za wszystko! Kocham cię nad życie! – Piotr czuł, że dłużej nie może czekać. Złapał ją za rękę. Wtedy spod pachy wypadła mu Dolina Issy. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że zabrał ją ze sobą.

Magda schyliła się i podniosła książkę. Z niedowierzaniem spojrzała na męża. Uniesione brwi i lekko otwarte usta wyrażały doskonale to wszystko, co działo się w jej głowie. Zanim zdołała ująć to w słowa, Piotrek zaczął:

– Madzia, ja już wszystko zrozumiałem. Zgubiliśmy się, ale cię znalazłem. I nie chcę stracić. Twój krzyk... tak, nie słyszałem go, byłem głuchy, ale już wyzdrowiałem. Zrobię wszystko, żeby ucichł. Daj mi szansę...

Jego słowa jeszcze długo wybrzmiewały wśród kamiennych schodów. Echo niesło je między piętrami, z czasem urywając, bawiąc się dźwiękami. A dwoje ludzi zdziwionych nieoczekiwanym spotkaniem patrzyło na siebie z lękiem i nadzieją. Ona, która raptem kilkadziesiąt godzin wcześniej, ogłuszona wewnętrznym krzykiem samotności, postanowiła wreszcie zawalczyć o siebie. Wynajęła mieszkanie, niedaleko, żeby mieć wszystko pod kontrolą, potrzebowała kilku dni na urządzenie się, potem chciała zabrać Franka. I on, który zapomniał co w życiu jest naprawdę ważne. Na zimnej klatce schodowej ważyły się ich losy, a przygrywał im wiatr, który wpadał jako nieproszony gość przez nieszczelne okno, próbując zabrać ze sobą obawy, tchnąć nadzieję.

Monika Kubisiak

ZAKŁAD

I

– Kto tym razem?

– Może..., ten.

– Dlaczego?

– A dlaczego nie?

– Jak chcesz to zrobić?

– Dam mu wszystko o czym marzy. Spełnię jego najskrytsze pragnienia. Rozdmucham jego pożądanie, utwierdzę w egoizmie, rozbudzę namiętności. Każde jego marzenie zostanie spełnione. A gdy będzie już to miał, stanie się mój. Jego dusza będzie moja.

– Ucierpią przy tym inni ludzi.

– To będzie tylko konsekwencją jego wyborów. Przecież każdy ma wolną wolę.

– To prawda, mają. A tobie wolno ich kusić, ale nie wolno ci łamać ich wolnej woli.

– Pamiętam o tym. On będzie mój. A jego samotny upadek sprawi mi niewypowiedzianą radość.

– Obyś się nie przeliczył.

– Jestem o to spokojny. Teraz ty. Ja wybrałem ofiarę, więc ustal reguły.

– Będzie twój..., jeżeli w pierwszym roku od jego śmierci nikomu nie będzie go żal, nikt go nie wspomni i nie zapali znicza na jego grobie.

– Zgoda.

II

– Proszę zaopiekować się pacjentem siostró. Jest w kiepskim stanie. Czekamy na wyniki badań. Monitoring całodobowy.

– Co mu jest?

– Jeszcze nie wiem, ale dobrze nie jest. Ma swoje lata. Jest wychudzony i słaby. Kroplówka, nawodnienie, erytropoetyna i glikokortykosteroidy. Szczegóły znajdzie siostra w karcie pacjenta. Musimy go trochę odżywić, a potem się zobaczy. Proszę też o niego zadbać. Umyć i zdjąć ten strój pajacyka.

– Pajacyka?

– No tak. To przecież ten pajac co przychodzi na oddział pediatryczny i zabawia dzieciaki. Rozdaje cukierki, robi magiczne sztuczki i takie tam...

– A, to ja go znam. A co mu się stało?

– Zasłabł. Na razie tyle wiem.

Siostra Viola weszła do sali oddziału intensywnej opieki medycznej. Na łóżku zobaczyła starszego mężczyznę z półprzymkniętymi powiekami. Był podłączony do respiratora. Na kardiomonitorze zauważyła, że jego serce bije słabo i nierytmicznie. Na stojaku wisiał worek z kroplówką. Szybkim krokiem podeszła do stolika, gdzie leżała karta medyczna pacjenta. Wzięła ją do ręki i zaczęła szukać informacji o zaleceniach lekarza. Po chwili odłożyła kartę i podeszła do szafki. Wyciągnęła z niej leki, preparaty i strzykawkę. Podłączyła pacjentowi nową kroplówkę, po czym wstrzyknęła do worka zawartość ampułek. Przystawiła krzesło do łóżka i usiadła. Czekać aż leki zaczną działać, uważnie przyjrzała się mężczyźnie.

Faktycznie, był wychudzony. Na pierwszy rzut oka nie było to zanadto widoczne, bo miał dosyć gęstą siwą brodę. Poza tym, na twarzy miał sporo makijażu, a na głowie rudą perukę. Ściągnęła ją. Pod nią mężczyzna miał rzadkie siwe włosy. Viola zauważyła także że wciąż miał na sobie strój przypominający cyrkowego clowna. Uśmiechnęła się lekko. Rozpoznała tego człowieka, choć nie wiedziała jakie się nazywa. Podobnie zresztą jak większość szpitalnego personelu. Wszyscy nazywali go tu pajacykiem.

Chwyciła kartę pacjenta jeszcze raz, szukając danych personalnych. Jego imię i nazwisko nic jej nie mówiło. Nie kojarzyło się z nikim kogo by znała. Zdziwiło ją tylko, że rubryka zawierająca adres i osoby do kontaktu, była pusta.

Viola spojrzała ponownie na monitor. Rytm serca był teraz bardziej równomierny i stabilny. Wstała z krzesła, podeszła do szafki i wyciągnęła z niej ręczniki, mydło oraz szpitalny strój dla pacjentów. Teraz mogła bezpiecznie usunąć mu z twarzy resztki makijażu i ostrożnie przebrać.

III

– Gdzie ja jestem... – słabym głosem wyjąkał mężczyzna.

– O, obudził się pan. Jak się spało, jak się pan czuje?

– Co się stało? Gdzie jestem?

– Jest pan w bezpiecznym miejscu. Zasnął pan. Na szczęście był pan w szpitalu, więc od razu przewieziono pana do nas. Widzę, że jest już lepiej. Czekamy jeszcze na wyniki pana badań...

– Ale, co się stało?

– ... to powie lekarz jak zapozna się z pana wynikami. Proszę spokojnie leżeć, wypoczywać, nabierać sił. Niedługo wszystko się wyjaśni.

Mężczyzna chciał jeszcze coś powiedzieć, ale był zbyt słaby aby mówić. Bezgłośnie poruszył ustami i zasnął. Viola nakryła go szczelnie kocem, przyjrzała się uważnie danym wyświetlanym na monitorze i przygotowała kolejną zmianę kroplówki.

IV

Mężczyzna otworzył oczy i zaczął rozglądać się dookoła. Im dłużej patrzył, tym bardziej był zdziwiony. Nie rozpoznawał tego pomieszczenia, ani sprzętów w nim się znajdujących. Było sterylnie czysto, biało i cicho. Słyszał tylko jakieś delikatny szum i ciche rytmiczne pikanie. Zdał sobie sprawę, że leży. Był jednak zbyt słaby aby wstać. Z trudem poruszył ręką. Gdy unióś ją nieco, zobaczył wkłucie na wysokości łokcia, do którego była doprowadzona jakaś rurka. Spojrzał wyżej i zobaczył, że koniec rurki podłączony jest do worka wiszącego na stojaku. Na worku był kranik, z którego miarowo opadały krople jakiejś cieczy. Wpadały do rurki, którą ściekały niżej, aż do wkłucia w jego rękę. Zauważył także dziwny plastikowy klips nałożony na palec lewej ręki. Rozglądając się dalej, zauważył na swoim torsie jakieś kabelki przyklejone do ciała małymi, okrągłymi plasterkami. W głowie zaczęło mu się kotłować. Próbował zrozumieć, gdzie się znajduje i co się z nim dzieje, ale nie potrafił. Ostatnia rzecz jaką pamiętał, to zabawa z dziećmi. Śpiewał im piosenkę o małpkach... Zaczęło wzbierać w nim przerażenie i strach.

– Halo. Jest tu kto? – wydusił z siebie. Po kilku sekundach usłyszał ciche skrzypnięcie otwieranych drzwi i jakaś biała postać podeszła do niego.

- Dzień dobry. Widzę, że się pan obudził. Jak się pan czuje? – zapytała Viola.
- Gdzie jestem?
- W szpitalu. Zasnął pan...
- Co mi jest?
- Powie to panu lekarz. Zaraz kończy obchód na oddziale i przyjdzie tu. Na pewno ma już wyniki badań...
- Co to za szpital?
- Miejski Szpital Kliniczny „Probatio Fides”. Proszę spokojnie leżeć. Wszystko będzie dobrze. Lekarz niedługo przyjdzie.

V

Po kilkunastu minutach do sali wszedł lekarz, a razem z nim Viola. Mężczyzna nadal był skołowany, ale pamięć zaczęła mu z wolna wracać. Cały czas zastanawiał się jak tu trafił. Viola stanęła obok łóżka, a lekarz podszedł do stolika gdzie leżała karta pacjenta. Szybko przeleciał ją wzrokiem i w milczeniu spojrzął na monitory. Następnie wyciągnął spod pachy plik kartek na których były zapisane wyniki różnych badań. Przekartkował je i także podszedł do łóżka. Mężczyzna w milczeniu czekał na to, co powie lekarz. Ten nabrał głęboki wdech, zwinął wszystkie dokumenty i spojrzął w oczy pacjenta.

- Wie pan, gdzie jest i co się stało?
- Nie wszystko jest dla mnie jasne, ale pewnie zaraz mi pan to powie.
- Słusznie. No, to po kolei...

Przez kolejne kilka minut rozmawiali. W zasadzie, to znaczy mówił głównie lekarz. Mężczyzna najczęściej milcząco przytakiwał, od czasu do czasu zadając jakieś pytanie. Słuchał w skupieniu. Był spokojny. Za to Viola zaczęła odczuwać niepokój i czuła się nieswojo. Im więcej słyszała, tym bardziej była zdenerwowana, ale starała się tego nie okazywać. Patrzyła w milczeniu na lekarza, to na pacjenta.

- Panie doktorze – odezwał się mężczyzna. – To że umieram, to wiem od dawna. Proszę mi powiedzieć coś, czego nie wiem.
- No cóż, w pańskim stanie..., w zasadzie powinien pan już nie żyć. Rak trzustki zaatakował kilka sąsiednich organów, więc sam pan rozumie...
- Rozumiem. To kiedy?

– Tego nikt nie wie. Może to będą godziny, może dni. My możemy pana tylko nawodnić, odżywić i postawić na nogi. A co dalej, to już nie zależy od nas.

– Rozumiem – spokojnie odpowiedział mężczyzna.

Lekarz i Viola wyszli. Mężczyzna wlepił oczy w sufit. Próbował zebrać myśli. Wiedział, że ten moment kiedyś nadejdzie. Spodziewał się go, ale i tak był nieco zaskoczony. Im dłużej o tym rozmyślał, tym bardziej się uspokajał. Jego lęki rozpraszały się, a on odczuł ulgę. Przymknął oczy i zasnął.

VI

– Dzień dobry. Zje pan coś? Przyniosłam śniadanie – Viola postawiła tacę na stoliku i usiadła obok łóżka mężczyzny. Ten nie spał. Widać było, że jest słaby, ale wzrok miał bystry. Viola od razu zauważyła, że jego kondycja wyraźnie się poprawiła.

– Dziękuję, może trochę później – odpowiedział mężczyzna.

– Wie pan – zaczęła delikatnie Viola. – Nie przypuszczałam, że pan tu trafi. To znaczy na OIOM. Zawsze chodził pan do dzieciaków. Wszyscy pana tu znają...

Mężczyzna spojrział na Violę i uśmiechnął się lekko.

– Wszystko kiedyś się kończy. I ja też – westchnął.

– Proszę się nie gniewać, ale muszę zapytać – Viola zrobiła małą pauzę i trochę niepewnym głosem zapytała. – Pan wie, że... umiera?

Mężczyzna spojrział na nią ponownie i spokojnym głosem odpowiedział.

– Tak.

Przez moment milczeli. Słychać było tylko ciche pikanie kardiomonitora. Po kilku sekundach mężczyzna zaczął mówić dalej.

– Wiem to od kilku lat. Miałem czas aby się przygotować, oswoić... Droga każdego z nas jakoś musi się zakończyć. Moja widocznie skończy się w taki sposób – westchnął. – To wiele upraszcza...

– Chciałby pan, aby kogoś powiadomić? Ma pan jakąś rodzinę, żonę, dzieci, jakichś krewnych?

– Nie.

– Może są jacyś znajomi, przyjaciele? – dopytywała Viola.

– Nikogo takiego nie ma – powiedział mężczyzna cichym głosem. – Byli, kiedy czegoś potrzebowali. Kiedy byłem dla nich przydatny. Kiedy coś znałem, dużo mogłem...

– A rodzina?

– Solidnie zapracowałem sobie na jej brak... – mężczyzna spojrzał na Violę i zauważył zaskoczenie w jej oczach. – Proszę się nie dziwić. Okrucieństwo życia polega na tym, że wydaje nam się, że jesteśmy nieśmiertelni i wszechmocni. Kiedy przekonamy się, że jest inaczej to... – mężczyzna westchnął i zamilkł. Przez dłuższy czas patrzył w sufit. Po kilku chwilach spojrzał znowu na Violę.

– Wie siostra, dlaczego przychodziłem do tego szpitala zabawiać dzieci? – zrobił małą pauzę i nie czekając na to czy Viola coś odpowie, zaczął.

– Ten szpital i te dzieci to jedyna rzecz jaka jeszcze nadawał sens mojemu życiu. Inaczej bym zwariował. Nie zawsze byłem sam. Gdy byłem młody, poznałem fantastyczną dziewczynę. Bawiły nas te same dowcipy, lubiliśmy tę samą muzykę. Oboje uwielbialiśmy spacerować i grę w kręgle. Nigdy ze sobą się nie nudziliśmy. Po studiach postanowiliśmy się zaręczyć. Ja zacząłem pracować w firmie handlowej, ona w szpitalu. Jak zaczęliśmy zarabiać sensowne pieniądze, postanowiliśmy razem zamieszkać. To był najpiękniejszy okres w moim życiu... – mężczyzna na chwilę zamilkł. Oczy lekko mu się zaszkliły. Viola w bezruchu czekała, co będzie dalej. Mężczyzna przeciągnął parę razy dłonią po czole i kontynuował.

– I wtedy się zaczęło. Byłem niezłym managerem. W firmie szybko zacząłem awansować. Pracowałem dużo, ale też dużo zarabiałem. Nawet mnie to cieszyło. Myśleliśmy o małżeństwie, własnym domku na przedmieściach, gromadce dzieci. To kosztuje. Rzuciłem się w wir pracy. Trafiłem na dobry okres w handlu. Firma zaczęła się rozrastać. Zakładaliśmy nowe oddziały i filie. Gdy awansowałem do managementu, firma szykowała się do wejścia na giełdę. W tym czasie praca stała się moim drugim, a w zasadzie, pierwszym domem. Mojej przyszłej żonie zaczynało się to coraz mniej podobać. Nie mówiła tego głośno, ale takie życie zaczęło ją irytować. Teraz to wiem. Chciała wyjść za mąż, mieć dzieci. Mnie brakowało na to czasu. Chciałem zarobić jeszcze więcej. Wtedy nasz dom byłby większy, w prestiżowej dzielnicy... To głupie, ale myślałem, że tak trzeba – mężczyzna zrobił pauzę.

– Debiut giełdowy okazał się sukcesem. A ja miałem jeszcze mniej czasu. Zostałem członkiem zarządu. Własne biuro, samochód, sekretarka, spotkania z ludźmi, których do tej pory znałem tylko z mediów. Wielki świat. Poklepywanie po plecach, nowe projekty biznesowe, służbowe obiady, kolacje, delegacje, wyjazdy. Wciągnęło mnie to życie. Postanowiłem czerpać z niego garściami. Wreszcie było mnie stać. Miałem pieniądze. Imprezy, luksusowe samochody, łatwe kobiety, alkohol, narkotyki... Byłem na topie. Tymczasem moja narzeczona zaszła w ciążę. Dowiedziałem się o tym lecąc z jednych targów na drugie. Zanim oznajmiła mi, że odchodzi, zdążyłem się dowiedzieć, że to będzie dziewczynka – mężczyzna zacisnął nerwowo usta. Był wyraźnie poruszony.

– Wiadomość o ciąży i odejściu mojej narzeczonej nie zrobiły na mnie większego wrażenia. W zasadzie, to nawet wtedy odczułem ulgę. Miałem więcej swobody. Ona wróciła do rodziców, a ja zacząłem korzystać z życia jak nigdy wcześniej. Teraz nic mnie już nie powstrzymywało. Firma miała świetną passę. Interesy kwitły. Na giełdzie były wzrosty. Rada nadzorcza nie mogła się mnie nachwalić. Dostawałem kolejne premie, bonusy i udziały w firmie. Żyłem na pełnych obrotach: sex, narkotyki, alkohol, imprezy. Mogłem spotkać się z kim tylko chciałem. Polecieć, gdzie chciałem. Pieniądze nie stanowiły problemu. Byłem duszą towarzystwa. Znałem ludzi z pierwszych stron gazet. Byłem z nimi po imieniu. Na konsultacje zapraszali mnie znani politycy. Media zabiegały o wywiady ze mną. Mogłem robić wszystko i mogłem załatwić wszystko. Byłem nietykalny. Byłem panem świata, a wszyscy dookoła utwierdzali mnie w tym przekonaniu... – mężczyzna przerwał. Widać było, że jest poruszony. Jego oddech był przyspieszony. Potrzebował małej przerwy. Gdy się uspokoił, spojrzął na Violę i powiedział.

– To był mój koniec. Passa się odwróciła. Firma dostała zadyszki, trend na giełdzie się zmienił, a ja przestałem być złotym dzieckiem biznesu i gospodarczym guru. Byłem wyniszczony narkotykami i alkoholem. Zacząłem zawałać pracę. Wszystko zaczęło się sypać. Byłem egzaltowanym bufonem z wybujałym ego, który gardził innymi. Pomiatałem ludźmi i zrażałem ich do siebie. Szczególnie najbliższych. Ekscesy, które wcześniej uchodziły mi na sucho, zaczęły mnie pogrążyć. Przyjaciele, ci prawdziwi, zaczęli się ode mnie odsuwać. Pojawiły się problemy z prawem. Duże sumy musiałem wydawać na adwokatów. Dla firmy stałem się balastem. Wyrzucili mnie. Wtedy dopiero

dobrały się do mnie różne sępy, które od dawna czyhały na moje potknięcie. Straciłem wpływy, koneksje, nieruchomości. Wszystko się posypało. Pieniądze przez jakiś czas jeszcze miałem, ale oskubali mnie adwokaci. Wszystko ze mnie wyssali. Gdy wyszedłem wolny z ostatniej rozprawy, nie miałem już nic. Z dawnych czasów zostało mi tylko trochę akcji, które i tak musiałem zacząć sprzedawać aby przeżyć. Właśnie wtedy dowiedziałem się o chorobie. Początkowe stadium raka trzustki. To był wyrok, bo takiego nowotworu nie można wyleczyć. Można tylko próbować opóźnić jego rozwój – mężczyzna znowu zrobił pauzę. Potrzebował czasu na zebranie myśli.

– Gdy zrozumiałem że umrę, najpierw przeżyłem szok. Ja, król życia, miałem iść do piachu? Trochę potrwało zanim oswoiłem się z tą myślą. Najgorsze, że nie miałem obok siebie nikogo. Zostałem sam. Pustka. Dawni przyjaciele odeszli, rodzice umarli, a z dalszą rodziną nie chciałem się kontaktować. Było mi wstyd. Czułem się upokorzony i samotny. Byłem nikim. Stałem się karykaturą człowieka, na którego nawet nie warto splunąć. Zostawiłem narzeczoną samą z dzieckiem i przez te wszystkie lata ani razu ich nie odwiedziłem, nie zadzwoniłem... Dopiero gdy upadłem, postanowiłem je odszukać. Udało mi się ustalić, że niecały rok po urodzeniu córeczki, moja była narzeczona zginęła w wypadku. Zgasła ostatnia nadzieja. Czułem się winny. Na odszukanie córki, nie miałem już sił. Zresztą, co bym jej po tylu latach mógł powiedzieć... – mężczyzna westchnął. – Wolę myśleć, że żyje sobie gdzieś, spokojnym życiem, że ma własną, normalną, kochającą rodzinę i kogoś kto o nią dba, myśli o niej i ją wspiera. Byłbym dla niej tylko balastem.

Viola słuchała w skupieniu. Chciała coś powiedzieć, jakoś pocieszyć mężczyznę, ale nie bardzo wiedziała, jak zacząć. Zrobiło jej się żal tego starego człowieka, który opowiedział jej historię swojego życia, nie oczekując od niej pocieszenia, ani nawet zrozumienia. Jakby chciał wyrzucić z siebie to, co od dawna leżało mu głęboko w sercu. Pracowała na OIOM-ie już kilka lat. Często miała do czynienia z osobami, które tu umierały. Nigdy jednak nie zetknęła się z kimś, kto był w pełni świadomy swojego stanu i faktu, że umiera. Była nawet trochę zaskoczona spokojem tego mężczyzny. Choć był pełen żalu i smutku, w obliczu śmierci zachowywał się z godnością. Współczuła mu.

– Był taki moment, że chciałem ze sobą skończyć – niespodziewanie odezwał się mężczyzna. – Uznałem, że dalsze życie nie ma żadnego sensu. Wtedy rak po

raz pierwszy dał o sobie znać tak bardzo, że trafiłem do szpitala. Siedząc w poczekalni zobaczyłem smutne dzieci. Coś ścisnęło mi gardło. Poczułem, że muszę coś dla nich zrobić. Coś, co je rozbawi, ucieszy, sprawi, że się uśmiechną i zapomną o swojej chorobie. Chciałem dać komuś radość. To nadało mojemu życiu sens. Uchwyciłem się tego, jak tonący brzytwy. Postanowiłem, że dopóki żyję, będę to robił. Dla nich i dla siebie. Zaczęłem więc odwiedzać dzieci w szpitalu. Jako clown. Resztę siostra zna...

– Dzieci pana uwielbiają – szybko wtrąciła Viola. – Co tydzień na pana czekały. Mój synek także.

– Synek?

– A tak, mam syna. Czterolatka. Spadł kiedyś z huśtawki na placu zabaw tak niefortunnie, że złamał piszczel w prawej nodze i staw łokciowy prawej ręki. Trzeba było pod narkozą zespolić mu te popękane kości. A było co robić, bo miał złamania wieloodpryskowe. Przeleżał tu po operacji w sumie dziesięć dni i był zachwycony spotkaniem z clownem. Zresztą tak jak i inne dzieci. Najbardziej podobało mu się jak puszczał pan bańki uszami – uśmiechnęła się Viola.

Mężczyzna spojrzął na pielęgniarkę ciepłym wzrokiem, a cała jego twarz rozpromieniła się.

– Tak? – wyszeptał cicho mężczyzna. – To miłe...

– No i te prezenciki. Maluchy zawsze na nie czekały. Te czapeczki, apaszki, czy kolorowanki. Zastanawialiśmy się tylko, dlaczego każdemu nowemu pacjentowi dawał pan breloczek z fiołkiem. Mój syn ma go do tej pory. Dlaczego fiołek?

– To może zabrzmieć głupio – niepewnie powiedział mężczyzna. – Kiedyś, dawno temu, gdy dowiedziałem się, że zostanę ojcem, kupiłem narzeczonej w prezencie złoty wisior w kształcie fiołka z diamentem po środku. To były jej ulubione kwiaty... Dla dziecka był łańcuszek. Też z fiołkiem. To była jedyna rzecz, taka od serca, jaką im ofiarowałem... Gdy rozdaję breloczki... myślę o nich. Myślę o rodzinie, którą mogłem mieć i o życiu, które mogłem przeżyć – mężczyzna zamilkł na chwilę.

– Gdybym mógł cofnąć czas... Chciałbym spotkać się ze sobą, gdy miałem dwadzieścia kilka lat. Chciałbym siebie ostrzec, powiedzieć, wytłumaczyć, co w życiu jest naprawdę ważne. Nie było dnia abym nie żałował tego

co zrobiłem, a jeszcze bardziej tego czego nie zrobiłem. Ale nie mogę. Nie potrafię cofnąć czasu i wytłumaczyć naiwnemu, głupiemu, młodemu człowiekowi, żeby nie niszczył siebie i tych których kocha...

VII

– On jest mój.

– Jeszcze nie. Nie minął rok. Taka była umowa.

– Łudzisz się. Dobrze wiesz, że przegrałeś. Wszystko poszło zgodnie z moim planem. To zawsze działa. Wystarczy spełnić każdą ich zachciankę, a oni sami doprowadzą się do upadku. Są prymitywni, samolubni i zachłanni. Używają życia i umierają samotnie. Nikt po nich nie zapłacie.

VIII

– Robert, jesteś gotowy? – krzyknęła Viola do syna.

– Tak mam. Chodź już. Tata czeka w samochodzie.

Jak co roku w rocznicę śmierci jej matki jechali całą rodziną na cmentarz. Kładli grób mały bukiet kwiatów i zapalali znicz. Później szli na przechadzkę do parku. Tym razem jednak przed wyjściem z cmentarza poszli w jeszcze jedno miejsce. Viola zabrała ich do małego, skromnego grobu na końcu bocznej alejki. Wyjaśniła im, że leży tu jej pacjent, który zmarł samotnie. Nie miał rodziny ani nikogo bliskiego. Miał trudne i smutne życie. Warto, aby ktoś wspomniał go i zapalił mu znicz. Violi na tym bardzo zależało.

Po wyjściu z cmentarza poszli na spacer, a potem na ciastka i lody. Choć była jesień, było ciepło. W kawiarni zdjęli kurtki i usiedli przy stoliku.

– O, jaki piękny wisior – zagadnął Marek, mąż Violi. – Pasuje ci.

– Dziękuję – odpowiedział.

– Masz go od tak dawna, a pierwszy raz widzę, że go nosisz. Jakoś do tej pory go nie zakładałaś.

– Ale teraz założyłam.

– Zawsze mówiłaś, że to rodzinna pamiątka i lepiej, żeby sobie leżała w kuferku. Co się zmieniło?

– Nic. Po prosu chciałam go założyć. Może teraz będę go nosić częściej...

– Dobry pomysł. Do twarzy ci z tym fiołkiem– uśmiechnął się Marek i razem z Robertem poszedł do automatu z napojami.

Viola patrzyła przez okno na przechodniów i przejeżdżające samochody. Wisior był jedną z nielicznych pamiątek po zmarłej matce. Nie знаła jej. Ojca zresztą też. Wychowali ją dziadkowie. Gdy była trochę starsza powiedzieli jej, że rodzice zginęli w strasznym wypadku samochodowym. Ciało jej matki odnaleziono. Ciało ojca niestety nie. Babcia mówiła, że jej rodzice bardzo się kochali. Byli szczęśliwi gdy ona się urodziła. Viola wierzyła babci na słowo. Gdy miała 18 lat, babcia dała jej małe pudełko z kilkoma drobiazgami. Były to rzeczy jej matki. Garść pamiątek, które po niej zostały. Wśród nich znajdował się złoty wisior z fiołkiem. Babcia mówiła, że był to prezent ślubny dla jej matki. Gdy jej matka zginęła, właśnie po tym wisiorze ją rozpoznano. Choć był piękny, Viola nigdy go nie zakładała. Idąc dziś na cmentarz, postanowiła go założyć.

IX

– Przegrałeś. Nie weźmiesz jego duszy.

– A było tak blisko... nie rozumiem, dlaczego. Przecież miał wszystko. Dostał wszystko co chciał. A potem mu to odebrałem i zniszczyłem. Odepchnął od siebie wszystkie życliwe osoby, rodzinę, krewnych, przyjaciół. Nie miał nikogo. Jego dusza była zatruta. Powinien być mój...

– O jednym zapomniałeś. Jego sumienie ocalało. Gdy stracił wszystko i wszystkich, zostało mu tylko ono. Było jego przekleństwem, bólem, cierpieniem, ale i ratunkiem. Uświadomiło mu cały ogrom zła jakiego dokonał. To ocaliło w nim resztki dobra, miłości, życzliwości... To go uratowało.

– Dlatego przegrałem?

– Tak.

– Nie rozumiem...

– Ja też nie. Oni po prostu tacy są.

Tomasz Magulski

* * *

Przysięgam na życie, to był tylko wypadek...To one mnie do tego zmusiły, krew na moich dłoniach..., ciemna i wylewająca się między palcami.... moje myśli spowodowały , odczułem ulgę i strach. To mnie przerosło... Całe moje życie mnie przerosło...

Jestem Mason Taylor, mam 17 lat i według prawa i psychiatry jestem niezrównoważony psychicznie..... Lecz według mnie krzyki w mojej głowie panują nade mną. Wychowuje mnie ojciec, moja matka zostawiła nas obu, gdy miałem cztery lata. Nie chciała mnie. Od najmłodszych lat byłem cichym, dziwnym dzieckiem, prześladowanym w szkole i katowanym psychicznie przez ojca pijaka, podręcznikowym przypadkiem patologii w rodzinie, więc przyzwyczaiałem się do takiego życia. Wiem, że to chore. Ale nie znam innej codzienności, nie wiedziałem, co robić. Szkoła, nauczyciele zawsze mieli to gdzieś, musieli myśleć, że skończę jak ojciec lub w ośrodku. Zaczniemy tę moją spowiedź.

To był najgorszy tydzień w moim życiu. A zaczął się od zarwanej nocki z papierosem w rękę i otwartym oknem. Siedziałem na parapecie w moim pokoju i paliłem powoli papierosa. Ubrany byłem w stare dresy i bluzę, a moje niechlujne, przydługie włosy rozwiewał wiatr. Pyszczatą twarz skierowałem w pochmurne niebo. Coś w tych chmurach przyciągało mnie..., ta czern, ciemność i pustka... Wewnętrzny krzyk szeptał jak demon w mojej głowie „SKOCZ!”. Skierowałem zaspane oczy się w dół, zaciągałem się papierosem, krzyki zawsze mnie skłaniały do rzeczy „nienormalnych” dla normalnych ludzi. Nie skoczyłem..., jeszcze nie dziś. Spojrzałem na zegarek na moim chudym nadgarstku, czwarta trzydzieści, zaciągnąłem się znowu i wypuściłem powietrze z ulgą. Samotność to błogostan, rano krzyki nie były aż takie głośne..., mój mózg był jeszcze nie w pełni przytomny. Ciche odgłosy miasta przytłumiły głosy w mojej głowie, które dalej

powtarzały jak mantra, bym skoczył i zakończył nędzne życie. Irytowały mnie, jak dzieciaki, które w kółko paplają.

Wyrzuciłem końcówkę papierosa przez okno i zamknąłem je. Westchnąwszy spakowałem plecak, który i tak przeżył za dużo i ledwo się trzymał. Założyłem go na ramiona i włożyłem sklejone taśmą słuchawki na uszy. Mój telefon też był w niedoskonałym stanie, ukradłem go jakiemuś dzieciakowi w szkole, wiem, że to złe i inne takie, ale nie czułem się specjalnie źle z tym faktem. Był bogatym dupkiem, który chwalił się kasą na lewo i prawo..., nawet nie zauważył, że zniknął mu jeden z pięciu telefonów... Był najstarszy.

Słuchałem muzyki w słuchawkach, by zagłuszyć głosy w mojej głowie. Idąc przez korytarz, zobaczyłem ojca, pijanego i nieprzytomnego, leżał na starym i rozwalonym fotelu. Był żywy...,chrapał... Ignorując go, ubrałem buty i wyszedłem z domu.

Moja okolica nie była z wyższych sfer, śmieci na ulicy, szczury i patologiczne rodziny wokół, ciemna strona „pięknego” miasta... Pochmurny i zimny poranek... Wschodziło słońce, ciepłe promienie otuliły moją twarz. Czasami zdarzają się momenty, kiedy czuję się, jak każdy z was..., bez krzyku w mojej głowie, bez ojca pijaka, bez prześladowców i blizn od papierosów. Dobrze przeczytaliście, samookaleczam się... Przypalam się papierosami.... Nie będę filozofować... Po prostu to robię, by coś czuć. Szedłem lekko jasnymi ulicami, miasto dopiero budziło się do życia, szedłem pieszo, ponieważ mój „ukochany” ojciec nie daje mi pieniędzy na transport, bo po co? Jestem bezczelnym gówniarzem, który nie zna wartości pieniądza i to tylko osiem kilometrów drogi..... Brednie pijanego umysłu...

Teraz musicie się zastanawiać, skąd mam pieniądze na fajki... Proste – kradnę pieniądze lub fajki od dzieciaków w szkole, którzy zostawiają plecaki samopas... Bycie cichym dzieciakiem ma swoje plusy, jesteś niewidzialny dla ludzi. Idąc, patrzę przed siebie i oglądam nudną okolicę... Widzę sklepy, które dopiero się otwierają, by zacząć dzień, ludzie prowadzący monotonne poranne życie.... Nuda... Skupiam się na muzyce, która zagłusza moje „złe” myśli.

Dotarłem do szkoły, publiczne liceum z mieszanką biednych i bogatych, zdolnych i tych mniej.... Typowe... wszystko typowe. Spojrzałem na stary zegarek, szósta dziesiąta, pozostało dużo czasu, co oznacza, chowanie się

w toalecie lub bibliotece przed bogatymi dupkami, którzy myślą, że to zabawne prześladować słabszego dzieciaka, bo przecież to zabawne... rozwalona psychika i stany lękowe, boki zrywać. Schowałem się w toalecie. Siedząc na desce sedesowej, z plecakiem na kolanach i słuchawkami w uszach, miałem łzy w oczach... Nie chciałem tutaj siedzieć... Bałem się, że tu przyjdą, znajdą mnie i znowu pobiją lub upokorzą.

Po kilku minutach usłyszałem kroki... To byli oni, wykrakałem...

– Kogo my tu mamy? – jeden zaśmiał się i zaczął walić w drzwi ubikacji. To był Harry, lider i najbogatszy chłopak w szkole.

– Biedak Mason tam siedzi? Kici kici! Wyłaż!

– Wyłaż debilu! – jego dziewczyna Emma krzyknęła i chichotała z swoimi przyjaciółkami, które kleiły się do kumpli (pachołków) Harry’ego.

W końcu wyważyli drzwi i wyciągnęli mnie siłą z kabiny. Dwóch chłopaków trzymało mnie, a koleżanki Emmy przeszukiwały mój plecak. Byłem przerażony, jak zwykle. Harry z jego irytującym uśmiechem walnął mnie pięścią w brzuch. Rozplakałem się, a oni zaczęli się śmiać.

– A ty co? Ciota? – Harry zarechotał. Dla mnie brzmiał jak chora żaba.

– Wyglądasz żałośnie, bękaracie!

Słowa Harry’ego zabolowały jak zwykle, bo przyzwyczałem się do łez i bólu. Moje słuchawki spadły na ziemię, znowu połamane, telefon z następnymi rysami leżał koło stóp Emmy. Brzuch bolał mnie niemiłosiernie, będzie siniak. Gdy moi oprawcy znudzili się obrażaniem mnie, drwiną z moich ubrań i statusu w szkole, jak typowi prześladowcy, włożyli mi głowę do sedesu. Moja twarz znalazła się w zimnej wodzie klozetu, podtapiali mnie.... Tlen uciekał mi z nozdrzy i ust.... Panika i strach ogarnęły mnie, lecz nie walczyłem..., przyzwyczałem się..., poczułem strach i brakowało mi tchu...

Wreszcie zostawili mnie z mokrą twarzą i obolałym brzuchem... Siedziałem skulony koło sedesu... Walcząc, by zaczerpnąć oddechu. W końcu uspokoiłem się i pobierałem swoje rzeczy. Bolesna rutyna, przed którą nie mogę uciec – pomyślałem. Poszedłem do lustra. Mokra od łez twarz wpatrywała się we mnie. Poprawiłem poturbowany przez bandę idiotów plecak na ramieniu. Sięgnąłem po ręcznik papierowy i tarłem nim twarz... Moje wypryski szczypały mnie

od tarcia szarym papierem... Ten ból nawet sprawiał mi przyjemność po spotkaniu Harry'ego i reszty. Po wytarciu się podciągnąłem koszulkę do góry i dostrzegłem ciemny, duży siniak na moim brzuchu, skrzywiłem się. Mimo przyzwyczajenia do bólu, obrażenia spowodowane przez kogoś innego, niż ja sam, przyprawiły mnie o mdłości.

Wyszedłem z toalety, starając się, iść tak, by nie czuć bólu. Skierowałem się do mojej klasy, gdzie miałem pierwszą lekcję. Szepty... ,głosy w mojej głowie zaczęły odzywać się znowu, teraz jeszcze głośniejsze: „SKRZYWDZ ICH, JAK ONI CIEBIE! CIOTA, BĘKARD!” Tak w kółko! Mój oddech znowu przyspieszał... Idę szybkim krokiem do klasy... Niech wreszcie się zamkną!... Wbiegłem do pomieszczenia, w którym nikogo jeszcze nie było. Usiadłem na swoje miejsce. Zdania pisane markerem, lekko już zmazane, zawsze przyciągały moją uwagę: „ZABIJ SIĘ, BIEDAK” było zawsze ze mną, by przypomnieć mi mój status, nędznego, cichego dzieciaka, który nie znaczy nic.

Zaczęła się nudna i długa lekcja. Siedziałem cicho, lecz mój umysł był głośny jak koncert wyzwisk wysyłanych w moją stronę, kuszenie, by coś zrobić... Coś niemoralnego. Szkicowałem zamiast notować. Stara matematyczka z grubymi oprawkami miała gdzieś, co robisz, tylko siedź cicho. Wyłączyłem się, moja ręka jakby sama się poruszała. Na kartce był mężczyzna leżący w kałuży krwi... Z krzyżykami na oczach... Bez emocji wpatrywałem się w rysunek... Nawet nie wiem, kiedy lekcja się skończyła. Przez resztę dnia, wpatrywałem się w ten rysunek z dziwną satysfakcją. Tworzyła następny i następny, i następny.

Po szkole wróciłem do domu z pustką w sercu. Rutyna, słuchać krzyki pijanego ojca siedzącego przed telewizorem. Pomyślałem, iż trzeba zjeść coś, co nie ma pleśni i posiedzieć w pokoju... Samotność, błoga jak zwykle. Siedząc na parapecie, zaciągałem się papierosem i wpatrywałem się w obrazek z... obsesją? Fascynowało mnie to... Śmierć zawsze była dla mnie kochanką, która na koniec odbiera zapłatę za życie. Zgasilem peta na przedramieniu, nie skrzywiłem się, uśmiechnąłem się nawet z satysfakcją. Rysunek leżący przede mną dalej kusił... Krzyki wzbudziły moją ciekawość.... To był mój ojciec.... Poznają po piwie w rękę. Pustymi, pozbawionymi emocji oczami, spozrywał na drzwi. Wystarczyło otworzyć i... Nie... NIE! „TAK BĘKARCIE, TO CZAS”. Głos w mojej głowie zasyczał podniecony.... Wewnętrzny demon kusił, ojciec zadał mi tyle cierpienia, wystarczyło tylko skorzystać z tej okazji.

Wieczorem, gdy ojciec już chrapał, w za dużej piżamie zakradłem się z obrazkiem do kuchni. Wpatrywałem się w nóż, taki sam jak na obrazku, krzyk kusił dalej, wmawiał, że robię dobrze, zacząłem w to wierzyć... Głos zaproponował... „JA TO ZROBIĘ”. Oddałem się mu. Moja dłoń sięgnęła po nóż kuchenny, długie ostrze świeciło w blasku księżyca, hipnotyzując mnie swoim pięknem. Biorąc obrazek do ręki, skierowałem się do salonu. Stałem przed ojcem bez emocji, czułem się wewnątrz pustym, co było wynikiem długoletniego bólu zadawanego przez niego. Moim ciałem kierował wewnętrzny demon... To nie ja... Nie w pełni... Jakiś element mojego ciała położył kartkę na podłodze koło fotela ojca, następnie twarz śpiącego ojca przykryła poduszka, a nóż znalazł się nad jego... klatką piersiową. Krew trysnęła mi na dłoń, cichy krzyk pod poduszką i jęk bólu, moja ręka powtórzyła sekwencje, nóż znalazł się kilka razy w różnych miejscach na jego klatce piersiowej. Gdy nie usłyszałem więcej jęków mojego ojca, zostawiłem wbity nóż w środek jego klatki piersiowej. Pokryty kilkoma plamami krwi ojca, wpatrywałem się w jego nieruchome ciało... Było to chore, ale... Podobało mi się to. Bycie kochankiem śmierci i odbieranie życia, śmiertelnikowi, który mnie katował. Po tym bez emocji poszedłem do pokoju, przebrałem się w nową piżamę, umyłem ręce i zasnąłem jak niemowlę.

Następnego dnia, wstałem zgodnie z poranną rutyną, spakowałem mały nożyk w kieszonkę plecaka, który zarzuciłem na plecy i już ubrany, zajrzałem do salonu z pustką w oczach.... Leżał tak z wbitym nożem i poduszką na twarzy. Zakrwawiona koszulka, kilka plamek krwi na ziemi... Wpatrywałem się w to z chorą fascynacją. Ekscytowało mnie, co jeszcze mogę zrobić.

.... Ale czułem, jakby to nie były moje myśli... To nie ja... „TO PRAWDZIWIWY TY!”. Poszedłem do szkoły z pustką w głowie, nic nie czułem, nie wiedziałem, które emocje są moje..., a które głosów.

Dzień w szkole minął jak zwykle, zaczepiali mnie, ale nie pobili tym razem. Obrzęk na brzuchu dalej trochę bolał. Głównie myślałem o tym, co zrobiłem... chciałem to zrobić jeszcze raz. Na lekcji zauważyłem, że Emma wyszła do toalety. Odczekałem pięć minut, wyciągnąłem mały nożyk dyskretnie i zgłosiłem, że muszę iść do łazienki. Wszedłem do damskiej toalety, gdzie wpatrywałem się wabinę, z której korzystała Emma. Zemszczę się na niej i Harrym.... Zajęło mi to kilka sekund, wyszła z kabiny, a ja rzuciłem się na nią, zakrywając jej usta. Dźgnąłem ją szybko w klatkę piersiową i brzuch. Mój ból i żal wyrażał nóż.

Rzuciłem jej ciało na podłogę, spojrzałem na nie, a potem na moje zakrwawione ręce, drżały....

Co ja zrobiłem.... Zacząłem płakać, a raczej histerycznie łkać. Rzuciłem nożyk na ścianę. Krew trysnęła na białe kafelki. To nie ja.... TO NIE JA! Wybiegłem z łazienki, w zakrwawionym ubraniu i ze łzami płynącymi po policzkach. Wparowałem do klasy, ignorując krzyki przerażonych uczniów i nauczyciela. Wziąłem plecak i zacząłem biec... Wybiegłem ze szkoły, kierowałem się do domu w panice, będąc przerażonym samym sobą... Jestem... Jestem potworem!... Zatrzymałem się kilka metrów przed moim mieszkaniem. Czerwono-niebieskie światła policyjne.... Policjanci wynoszący czarny worek... Oddychałem coraz szybciej. Oni wiedzą... MUSZĄ JUŻ WIEDZIEĆ. Jeden z mundurowych zauważył mnie, nastolatka w zakrwawionym ubraniu i płaczącego histerycznie. Policjant coś krzyknął, a reszta spojrzała w moim kierunku. Zanim któryś z nich zareagował, zacząłem uciekać. Nie wiem, jak długo biegłem, ale znalazłem się w opuszczonym budynku. Wiedziałem, że niedługo mnie znajdą, za dużo osób mnie widziało.... Wyciągnąłem kartkę z zeszytu i zacząłem pisać z drżącą dłonią starym długopisem:

Jeśli to czytasz, znalazłeś miejsce kochanka śmierci... Wreszcie po mnie przyszła... To nie ja zabiłem Ojca i Emmę... To głosy, krzyki... To one mi kazały... Ja.... Ja nie wiedziałem, co mam zrobić... Jestem Mason Taylor i przez lata mój ojciec znęcał się nade mną psychicznie... Moją winą było, że matka odeszła.... W szkole nikt się tym interesował... To wasza wina czy moja?.... Byłem prześladowany... przez innych... nikt nie zareagował... Czy jestem szalony? Czy zagubiony? Jeśli Bóg istnieje..., to ja w niebie się nie zjawię. Proszę... Zajmijcie się takimi jak ja... To nie ja.... Nie wiedziałem, co robić z krzykiem, który odzywał się w mojej głowie.

M.

Położyłem list na parapecie starego okna i stanąłem na zewnątrz okna. Spojrzałem w dół.... Zauważyłem policjantów, którzy patrzyli w moim kierunku z przerażeniem... Zrobiłem krok.

Weronika Chyla

Nieprzewidywalność życia

Środa, 15 kwietnia 2024, Gdańsk

Przez małe okienko usytuowane naprzeciw łóżka do środka pomieszczenia zaglądał księżyc – w pierwszej kwadrze. Jego kolor przypominał Piotrowi o posągu, który zajmował miejsce tuż przy wejściu do mieszkania. Była to statuetka konia. Pięknego, potężnego. Stojącego na dwóch tylnych kopytach, gotowego do boju. Piotrek pragnąłby być tak odważny jak ten koń, a nie chować się za własnym łóżkiem. Wtedy życie byłoby prostsze, zwłaszcza w takich chwilach jak ta.

Nagle zza drzwi dobiegł dźwięk tłuczonego szkła, a w ślad za nim kilka niewybrednych przekleństw, po czym klamka od sypialni zaczęła drgać. Po chwili wszystko zatrzęsło się jak szkolna linijka. po czym rozległ się wielki huk, a drzwi otworzyły się z takim impetem, że cud tylko utrzymał je w futrynie.

Gdy dwóch mężczyzn weszło do pokoju, Piotrek był już pod łóżkiem. Wcale nie była to para napakowanych osiłków, ale w aktualnym stanie emocjonalnym i półmroku panującym w pokoju, Piotrek był skłonny wystraszyć się nawet swojego pluszowego pingwina. O, tego pingwina, który właśnie leciał wzdłuż pokoju, rzucony przez intruza w kominiarce. Ałaaa...

Gdy nieproszeni goście przenieśli się w głąb pokoju, Piotr zaczął obmyślać plan. Ewakuacja z mieszkania drzwiami najprawdopodobniej by się nie udała. Musiałby znaleźć klucz, później włożyć go w zamek, otworzyć te drzwi i wybiec. Na klatce czekałyby go kolejne drzwi do otworzenia. Nie, to odpada. Zostawały drzwi od strony ogrodu. Zaraz za nimi, pod płotem, wczoraj ułożył skrzynki, które miał wywieźć do skupu, wskoczy na nie i sprawnie pokona płot.

Gdy włamywacze byli już po łokcie zakopani w stercie ubrań w szafie (jednak opłaciło się odpuścić sobie w tym miesiącu sprzątanie), chłopak zaczął działać. Szybko wyslizgnął się spod łóżka, przedostał się w przez uchylone drzwi do salonu i po chwili był już na zewnątrz. Gdy otoczył go kojący zapach ogrodu,

usłyszał potężny huk. Serce podskoczyło mu do gardła. Wiedział, że jeśli się nie pośpieszy, jego plan spali na panewce. Podbiegł do ogrodzenia i niczym rasowy górolaz pognął po skrzynkach na górę. Gdy był już po drugiej stronie płotu, dobiegł go trzask łamanego drewna. Hm... skrzynki widać nie były aż tak wytrzymałe, jak zapewniał producent. No cóż...

Teraz mógł wreszcie spokojniej zebrać myśli. Doskonale wiedział, czego szukali. Nie był tylko pewny, na ile dokładnie wiedzieli to oni. Przez ostatnich kilka miesięcy, od kiedy wiadomo już było, że jego tajemnica ujrzała światło dzienne, starał się zakamuflować prawdziwy pamiętnik. Czy się udało? Niedługo się okaże. Ostatni raz rzucił okiem na swój telefon, po czym wyjął z niego kartę SD i wyrzucił go w krzaki pod płotem, niedaleko ogrodzenia, przez które kilka chwil temu przeskoczył. Miał nadzieję, że połkną haczyk.

Sobota, 18 kwietnia 2024

Piotrek siedział w słuchawkach na uszach na końcu lady. Właśnie oglądał nowy odcinek serialu. Jego główny bohater wpadł przed chwilą w tarapaty i został złapany przez jakąś dziwną agencję za zakłócenie chronologii czasu. Gdy starał się uwolnić, do uszu Piotrka, mimo słuchawek, dobiegł trzask. Chłopak niechętnie oderwał się od telefonu i zauważył zamieszanie przy kasie. Zatrzymał serial i wyjął jedną słuchawkę z ucha, po czym podszedł do kasy, żeby obsłużyć nerwowego klienta. Ten na szczęście już zdążył się uspokoić, rzucił plik banknotów na ladę i szybko się oddalił, zabierając pod pachą 2 litry Pepsa.

Chłopak podejrzliwie wziął do ręki plik banknotów. Na oko wydawało się, że zostawił ich o wiele za dużo. Przeliczył i szybko potwierdziły się jego obawy. Zanim jednak zdążył krzyknąć za mężczyzną, zauważył, że między banknotami tkwił wciśnięty bilet wejściowy na wieżę telewizyjną w Berlinie. Zatem... udało się, mamy to! – szepnął sam do siebie, uśmiechając się przy tym ukradkiem.

– No to jedziemy do Berlina.

– Piotrek? Co tu się wyprawia? – dobiegł go głos z pomieszczenia gospodarczego. Piotrek szybko chwycił plik banknotów z lady i schował go do tylnej kieszeni w spodniach. Na szczęście zdążył, zanim podeszła Natalia.

– A nic, jakiś nerwowy klient trzasną butelką o ladę.

- Ookay... zastąpić cię już?
- Tak, proszę – Piotrek odsunął się od kasy i powoli pomaszerował w stronę składziku.

Poniedziałek, 20 kwietnia 2024, Berlin

Do Berlina zabrał się z wycieczką. Wydawało mu się, że doda mu pewności na obcej ziemi. Za oknem migały mu co chwila berlińskie budynki, które dobrze znał z sieci. Czuł się trochę jak na wycieczce szkolnej. Jakby znowu miał 12 lat i po raz pierwszy widział Warszawę. Wtedy jednak podróżował bezpiecznie ze swoją klasą, teraz pcha się w jakąś kabałę z niebezpiecznymi ludźmi.

Gdy w końcu wycieczka wyszła z zatłoczonego pojazdu, ustawiła się w grupkę, czekając aż przewodnik będzie gotów i poprowadzi ją na podbój Berlina. Najpierw powinni dojść do słynnych murali. East side gallery. Wejście bezpłatne, fortunnie. Program wycieczki nie był specjalnie bogaty, ale kasa, która dostał razem z biletem na wieżę, nie pozwoliła mu na wykupienie lepszej opcji.

Miał już ponad 20 lat, więc nikt specjalnie go nie pilnował. Dość swobodnie i bez zbędnych wyjaśnień szybko odłączył się od grupy i skierował tam, gdzie sądził, iż mogłaby być wieża telewizyjna. Niestety, nie wszystko poszło po jego myśli, wieży nigdzie w pobliżu nie było.

– Entschuldigen, jak dotrzeć do Fernsehturm? - zapytał mężczyznę, który właśnie przechodził w pobliżu.

– Ah, musi pan iść prosto, aż do mostu, przejść przez niego i później nadal prosto, powinien pan go zobaczyć

– Danke schön.

Dobra. Prosto. Most. Prosto. Wieża. I teraz na górę. Piotrek spojrzął na godzinę w telefonie. 14:30. Kontakt powinien już być na miejscu. Piotrek stał przy jednym z pulpitych w środku budowli. 14:31. Nadal nie pojawił się kontakt, ale nieopodal kręciła się para podejrzanych mężczyzn i dziwnie się mu przyglądała.

Tu należy się Wam, drodzy czytelnicy, wyjaśnienie. Na bilecie, który Piotr otrzymał razem z plikiem banknotów znacznie przewyższających wartość 2 litrów Pepsy, zapisana była krótka notatka. Dowiedział się z niej, że jest ktoś, ktoś ma

od niego odebrać pamiętnik, bo ten został namierzony i może ściągnąć na niego poważne niebezpieczeństwo. Miejsmem spotkania miała być wieża telewizyjna w Berlinie. Jako znak rozpoznawczy ustalono przypinkę z kapeluszem na prawej piersi.

– Przepraszam? Piotr Schutt? – zagadnął jeden z podejrzanych typów, gdy w końcu zdecydował się zbliżyć. Piotr natychmiast przeszukał go wzrokiem, rozglądając się za przypinką. Znalazł ją na lewej piersi. Dałby głowę uciąć, że powinna być po drugiej stronie.

– Tak, słucham?

– Jestem kontaktem. Możesz mi przekazać przesyłkę.

– Potr zdjął plecak i wyjął z niego puszkę, po czym z uśmiechem zbliżył dłoń do rozmówcy i z całej siły nacisnął guzik. W tym momencie gaz pieprzowy zaczął działać, dostając się do oczu adwersarza i skłonił go do chaotycznej ucieczki. Drugiego mężczyzny już dawno nie było w pobliżu.

Po kilkunastu minutach sprintu Piotrek znalazł się w parku. Przysiadł na ławce przy stawie. Ciężko mu się oddychało. Nie wiedział, czy to od braku kondycji, czy z emocji. Wszystko miało się udać. Miał spotkać się z PRAWDZIWYM kontaktem, oddać mu przesyłkę i wszystko wróciłoby do normy. Teraz musi znowu czekać, aż dostanie informacje o możliwości spotkania. I nadal nie miał pojęcia, kim są ci dziwni ludzie oraz jakim cudem wysłedzili go aż tu.

Piotr wstał z ławki, czuł narastającą wściekłość. Chciał ją z siebie wyrzucić, bo miał wrażenie, że rozsadzi go za chwile od środka. Nie miał tylko pomysłu jak tego dokonać. Zdawał sobie sprawę, że zachowuje się dziwnie, ale nie był stanie nad sobą zapanować. Ciało odmówiło współpracy. Wykonywał całe sekwencje raptownych ruchów, skłonów, zwrotów, wymachów. Czuł, jakby jego kończyny chciały oderwać się od ciała, aby dać drogę ucieczki emocjom. Biedne, nieświadome, że to tak nie działa. Puskę z gazem mocno rzucił o jedno otaczających go drzew. Złowieszczy krzyk, rosnący w jego wnętrzu, a będący wyrazem sprzeciwu wobec całej tej sytuacji, w którą nie ze swojej winy został wplątany, odbierał mu zmysły. I ta niemoc. Straszne uczucie, które potrafi zdeptać wiarę w siebie i w sens czegokolwiek. Zaczął przeklinać po cichu wszystkich. Zwłaszcza Jacka, za to, że wpakował go w to bagno i w nim zostawił. Kontakt, za to, że nie zjawił się w porę. Tych mężczyzn, bo nie zdołał ich zmylić.

Miał chęć czymś rzucić. Nie miał nic pod ręką tylko... Z kieszeni wydobył tę nieszczęsną kartę SD, którą wciąż miał w kieszeni i rzucił ją najdalej jak mógł.

– Herr? – Nagle ktoś zaczął mówić coś po niemiecku. Piotrek był tak oszołomiony, że nie był w stanie zrozumieć prostych słów. Nie rozpoznał nawet policyjnych mundurów, których właściciele właśnie krępowali go i zakuwali kajdanki.

* * *

– Schutt? – Podnosząc wzrok, Piotrek zza krat zauważył niemieckiego policjanta.

– Tak? – chłopak po przybyciu do budynku szybko zrozumiał, że krzyk rzucanie rzeczami w parku publicznym nie był dobry pomysłem. – Słucham?

– Jesteś wolny, proszę wracać do kraju najbliższym pociągiem, ktoś za ciebie poręczył.

– Za mnie, kto?

– Ta osoba nie życzyła sobie, żeby ujawnić jej personalia. Pamiętaj młodzieńcze na przyszłość, że za zakłócanie porządku publicznego w naszym kraju każdego czeka surowa kara.

Worek, 25 kwietnia 2024, Gdańsk

Piotrek wrócił z powrotem do Polski i do pracy. Mijały godziny, dni i nic się nie działo. Powoli zapominał o wydarzeniach kwietniowego popołudnia, zaczynało mu się wydawać, że to był sen. Aż pewnego dnia zadzwonił telefon:

– Słuchaj uważnie. Jutro pod Neptunem spotkasz się z kontaktem. 17.00, spóźnij się.

– Tia, sorry ale nadal nie jestem pewny czy ochłonąłem po Berlinie.

– Berlinie? – rozmówca zdawał się być zaskoczony.

– Tak, kilka dni temu wróciłem, dopiero dochodzę do siebie, mało nie skończyłem za kratami. To jakaś kolejna podpucha?

– Chłopcze, posłuchaj mnie uważnie. My nie kazaliśmy ci jechać do Berlina, to był podstęp. Jesteś w niebezpieczeństwie, większym, niż sądziliśmy. Nie wracaj dziś do domu. Prześpij się u kogoś, a jutro o 17.00 masz być przy fontannie

Neptuna. Przesyłkę przekaz kontaktowi. Jak już będzie po wszystkim, puścimy trochę farby, żeby się rozlała po okolicy, będziesz znów czysty i przestaną cię kontrolować.

Sobota, 26 kwietnia 2024

Janek nie ma pojęcia jak wygląda, ani jaki ma głos jego kontakt. Informacje o spotkaniu dostarczył przecież przez telefon i bez żadnych dodatkowych wyjaśnień. Mieli spotkać się przy fontannie Neptuna. Czekał na schodach prowadzących do Dworu Artusa.

Ktoś się do niego dosiadł.

– Piotr? – spod daszka bejsbolówki wydobywał się dźwięczny kobiecy głos. Jego właścicielka miała krótkie włosy z paroma jasnymi pasemkami. Całkiem jak Natalia.

– Tak?

– Jestem kontaktem. Masz przesyłkę.

– Chodzi o kartę SD? – postanowił ją poddać próbie. Gdyby to był kolejny typ od włamywaczy, może połknąłby przynętę. Piotrek w końcu wyrzucił wtedy, w trakcie ucieczki, pod płótnem komórkę z wyłamanym wejściem na kartę SD, co miało sugerować, że została w pośpiechu zabrana, a więc zawiera ważne dane.

– Nie zgrywaj się, to mało zabawne. Masz pamiętnik?

– Muszę być ostrożny, są z nim same kłopoty.

– Tak, wiem. Nie zdajesz sobie sprawy jak ciężko było przekonać niemiecką policję, żeby trochę odpuściła. Musiał interweniować sam minister – chłopak spojrzał na nią zszokowany.

– Słucham? Że co? Minister? W co wyście mnie wpakowali? Ej, czemu chowasz twarz? Spójrz na mnie – to mówiąc, poczuł zamęt w głowie, a świat zawirował mu w nieznanym dotąd sposób. Czuł się po raz kolejny całkowicie zdezorientowany. – Ty nie jesteś Natalia?

Mówiąc to wyciągnął szybko rękę w jej kierunku. a ona odwracając twarz, odsłoniła oczy. Nastąpiła chwila konsternacji. Piotr usiadł z powrotem na schodach, a Natalia uśmiechnęła się do niego.

– Głuptasie, myślałeś, że zostałeś z tym sam? Cały czas miałam cię na oku. Tylko ten Berlin, zwiąłeś mi i widzisz co się mogło stać? Nie powinieneś nic robić na własną rękę.

– Nacia? – Piotrek był w szoku. Kontaktem miała być ta zaufana osoba. Ktoś, komu można powierzyć dziennik. Tą osobą była Nacia, która skanuje swoją aplikację „Żabki”, gdy klient takiej nie posiada i w ten sposób podkrada punkty? Nedorzeczne.

– Piotruś, to była przykrywka, jestem tajniakiem. No, teraz już takim nie do końca, ale mam nadzieję, że mnie nie spalisz. W końcu ratuję ci właśnie tyłek. Jeden z naszych miał pluskwę, stąd wiedzieli o naszych planach i chcieli być sprytniejsi. Miałeś dobry pseudonim i długo nie potrafili dojść kim jesteś, aż wreszcie im się udało. Ktoś musiał popełnić błąd. To się zdarza najlepszym. Musieliśmy działać i na szczęście pamiętnik będzie już bezpieczny. A wiesz, że oni sądzili, że pamiętnik jest zapisany na karcie SD? Przez parę godzin sądzili, że udało się im przejąć w tym Berlinie. A jakie było zaskoczenie, kiedy ją wrzucili do czytnika i zobaczyli top 100 memów o blondynkach.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Musimy trzymać rękę na pulsie, mamy swoje wtyki. A wiesz z czego się cieszę najbardziej? Że już nie muszę wracać do tej kasy, straszna nuda.

– Wiem, wiem. Za rok kończę studia, też zmienię miejscówkę.

5 lat wcześniej

– Jacek? Co jest? – Piotr uchylił drzwi od swojego pokoju, aby zobaczyć, kto go budzi o pierwszej nad ranem. Oczywiście, nie spał, lecz był w bardzo intensywnej rozgrywce Call of Duty.

– Sorry, że tak późno, ale musisz mi pomóc – Jacek wyglądał na bardzo zdenerwowanego i zmęczonego. Rozglądał się po pokoju, po czym usiadł na łóżku i spojrzał Piotrkowi głęboko w oczy. Był w sutannie, Piotrkowi zawsze się wydawało, że w niej wygląda patetycznie.

– Młody, czy ty jesteś na tyle dojrzały, że można ci zaufać? – zagadnął.

– Możesz mi z łaski swojej powiedzieć co robisz u mnie o... – spojrzał na zegarek - 1:17? I co za książkę tam przytargałeś? Wiesz, że literatura nie leży w sferze moich zainteresowań?

– Piotrek, ogarnij się. I to szybko, bo pójde szukać gdzie indziej. Ale to do ciebie jakoś mam zaufanie największe, no nie wiem czemu, może oszalałem. Pomożesz mi?

– No, ale w czym, ojciec wielbny?

– Możesz już przestać? Posłuchaj mnie uważnie.

– Zamieniam się w słuch.

– Jutro wyjeżdżam na misję do Kamerunu. Udało mi się uprosić biskupa o skierowanie w trybie natychmiastowym. Muszę stąd zniknąć.

– Co ty gadasz? A mama o tym wie?

– Z grubsza. Słuchaj dalej. Powiem ci tylko tyle, ile muszę. Im mniej wiesz, tym lepiej dla ciebie. To jest pamiętnik. Spisałem tu to, co usłyszałem w konfesjonale od jednego skruszonego zbira. Obowiązuje mnie tajemnica spowiedzi i nie mogę tego ujawnić, ale od tego, co mi powiedział, zależy życie wielu ludzi – Piotrek słuchał brata i z każdym słowem czuł, że ciśnienie mu się podnosi, a serce bije coraz mocniej. Jacek był od niego kilka lat starszy i o niebo poważniejszy. Po maturze poszedł do seminarium, został księdzem. Był mądry, rozważny, odcytany. W jakiś sposób mu imponował, choć nigdy głośno o tym nie mówił. A teraz w środku nocy opowiadał mu jakąś niestworzoną historię. W głowie się to Piotrkowi nie mieściło.

– Jak to nie możesz ujawnić?

– Piotr, nie mogę i tyle. Ale też nie mogę tego tak zostawić. Dlatego napisałem ten pamiętnik. Tu jest wszystko. Nie wiem, czy robię słusznie. Nie wiem, czy Bóg mnie za to nie ukarze, ale coś muszę zrobić. W życiu bywają takie sytuacje, że chce się krzyczeć, ale nie można wydać z siebie głosu. Kiedyś to zrozumiesz. Nigdy nie wie się, co poradzić z tym krzykiem, co odzywa się w nas samych. Może kiedyś pojawią się nowe okoliczności, w których będzie można zrobić pożytek z mojego wyznania i przerwać wreszcie falę zła. Może... Tymczasem schowaj to najlepiej jak możesz i pilnuj jak oka w głowie. Nikt cię nie będzie o nic podejrzewał. Ja muszę wiać, wiedzą, że znam prawdę. Trzymaj się!

I już go nie było. A Piotr – poczuł jedynie chłód i wilgoć dobiegającą z podwórza, zobaczył ciemność, w której zniknął Jacek. Usłyszał ciszę, wśród której gdzieś w oddali mknął właśnie pospieszny do Krakowa. Chciał krzyknąć, ale w ostatniej chwili zdusił ten odruch i schował głęboko w sobie, nie wiedział

jeszcze, że będzie go nosił w środku wiele lat, może na zawsze. Krzyk, w którym zamknął swój strach, bezradność, samotność, obawy i konieczność radzenia sobie z nieprzewidywalnością życia, niepewnością jutra, schował sprzeciw, którego nie miał komu zgłosić. Zapłakał. Stojąc wciąż w otwartych drzwiach, oko w oko z ciemnością, uronił trzy łzy. Trzy dowody na jego istnienie.

Maja Kubisiak

LŚNIĄCE WIĘZIENIE

*Nigdy nie wie się, co poradzić z tym krzykiem,
co odzywa się w nas samych*

18.10.2039 – Ośrodek Eksperymentalnej Opieki Zdrowotnej

„Jeśli spędzę w tym miejscu choćby kolejną minutę, to oszaleję”.

Zacisnąłem zęby tak mocno, że zaczęły boleć. Przygryzłem wewnątrz policzka, uporczywie szarpiąc nitkę wystającą z rękawa bawełnianej koszuli. W pomieszczeniu było lodowato, lampy buczały i mrugały, a kobieta po drugiej stronie stołu co chwilę spoglądała na mnie znad swoich papierów z tym irytującym, współczującym uśmiechem. Utrzymywanie kontaktu wzrokowego nie było aż tak trudne jak kiedyś, ale w tamtej chwili celowo patrzyłem na wiszące za jej głową plakaty. „Myj ręce, nie rozsiewaj bakterii!”, „Badania krwi na piętrze trzecim”, „Efekty alkoholu w ciele człowieka”. Czytałem je już milion razy podczas tych spotkań, a ona zawsze źle to rozumiała.

– Spokojnie, nie musisz patrzeć mi w oczy – powiedziała tym razem, jak zwykle powoli i tak, jakby obawiała się, że zaraz zacznę płakać. – Rozmawialiśmy o tym. Tutaj możesz czuć się swobodnie. Chcesz jeszcze raz wykonać ćwiczenie z bańką?

Miałem ochotę niekulturalnie jej odpowiedzieć, ale wiedziałem, że jeśli spróbuję, to będzie jeszcze gorzej. Spojrzałem na jej twarz, prostując się na krześle.

– Nie, nie trzeba – wymamrotałem. „Nie chcę tu być, nie chcę tu być”.

– W porządku. – Psycholożka kiwnęła głową i wyjęła coś z teczki, na co mimowolnie skuliłem się w sobie. – Kornelia nie dołączy do naszych dzisiejszych zajęć, bo źle się czuła. Wzięli ją na dodatkowe badania.

I dobrze. Kornelia była miła i nic mi nie zrobiła, a to, że zgrupowali nas razem – pomimo tego, że byliśmy na diametralnie odmiennych poziomach – nie było

jej winą. Mimo to, nie mogłem powstrzymać niechęci nadchodzącej za każdym razem, gdy ją widziałem.

Kiwnąłem jedynie głową.

– Dzisiaj chciałabym porozmawiać z tobą o emocjach – ciągnęła psycholożka, kładąc na stole kartkę z rysunkami paru postaci o wyolbrzymionej mimice.
– Twoi rodzice wspominali, że masz kłopoty z rozumieniem komunikacji niewerbalnej. Jest to częsty objaw...

Momentalnie wyłączyłem się i skupiłem na niezamalowanym obszarze na ścianie. Nie miałem żadnych problemów. Tak, czasem zdarzało mi się powiedzieć coś niepasującego do kontekstu albo nieuprzejmego, ale rzadko. W ciągu tych dziewiętnastu lat nauczyłem się, że „nie najgorzej” to nie komplement. „Nie chcę tu być, pozwólcie mi już odejść”. Za późno zorientowałem się, że znowu zacząłem podrygiwać nogą.

Psycholożka urwała monolog i położyła rękę na moim kolanie.

Przez ciało przebiegła mi fala pierwotnego, dzikiego strachu. Gwałtownie odsunąłem się od stołu i zerwałem się z krzesła, które przewróciło się z hukiem na pokrytą wykładziną podłogę. Kobieta wpatrywała się we mnie szeroko otwartymi oczami. Przełknąłem ślinę, starając się uspokoić oddech.

– J-ja... – próbowałem powiedzieć. „Dlaczego mnie nie wypuścicie, dlaczego nadal mnie tu trzymacie, dlaczego bardziej słuchacie moich rodziców niż mnie”.

– Spokojnie – odpowiedziała psycholożka, znowu przybierając ten uśmiech. Ten protekcyjny, współczujący uśmiech, jakby patrzyła na uczącego się chodzić szczeniaczka. – Każdemu zdarza się zdenerwować. Autyści, chociaż wielu odznacza się inteligencją, to wyjątkowo wrażliwe osoby.

Znowu ta gadka. Postawiłem krzesło z powrotem, ale drżenie – z wściekłości, strachu, sam nie wiem – nie ustąpiło. Odkąd pamiętam, ludzie, którzy mieli mi „pomóc”, traktowali mnie, jakbym nie wiedział, co dzieje się dookoła mnie. Jakbym nie potrafił sam powiedzieć, czego chcę, a czego nie. Jakbym był upośledzony.

Psycholożka szkolna, do której chodziłem w ósmej klasie, kazała mi układać jakieś klocki dla przedszkolaków. Kiedy pewnego dnia się rozplakałem i powiedziałem, że nie chcę tego robić, zaczęła mnie przytulać i głaskać po włosach, chociaż się wyrywałem. Tego dnia po raz pierwszy zapaliłem.

Ponownie zacisnąłem zęby. Zawsze kipiała we mnie niechęć i pewnego rodzaju pogarda wobec świata, a to wszystko tylko je pogorszyło.

– Kiedy będzie czas odwiedzin? – zapytałem, siadając. Krzesło miało jedną nogę krótszą.

– O dziewiętnastej. Ale najpierw musimy dokończyć zajęcia, dobrze? – Psycholożka wyjęła kolejną kartkę, a jej oczy zatrzymały się na moich dłoniach, które znowu ciągnęły za nitkę. – Chcesz może zabawkę antystresową? Mam parę w torebce.

– Nie, nie, nie trzeba – mruknąłem, instynktownie krzyżując ramiona. Wiedziałem, że wielu osobom pomagają, ale jakoś nigdy nie mogłem się przekonać do zabawek antystresowych. Rozpraszały mnie bardziej niż właściwe źródło stresu.

Kobieta skinęła głową, a następnie kazała mi nazywać emocje rysunkowych postaci. Znudzoną, poirytowaną głosem wskazałem, że dziewczynka z czerwoną twarzą i zmarszczonymi brwiami jest zła, a chłopiec ze łzami w oczach jest smutny. Później opowiadałem, co bym zrobił, gdyby moja przyjaciółka płakała, bo zerwał z nią chłopak, itp., itd.

W końcu dotarliśmy do ostatniego ćwiczenia.

– Proszę, narysuj to, jak wizualizujesz swoją przyszłość po opuszczeniu ośrodka, powiedzmy, za pięć lat – poleciła mi. – Nie jest to może związane z emocjami, ale przyda się do dokumentacji.

Wbiłem wzrok w pustą kartkę, pstrykając długopisem, który dała mi lekarka. Słowo „wizualizacja” nigdy nie przestanie mi się kojarzyć ze specjalistką, do której trafiłem, kiedy miałem trzynaście lat. Pamiętam, że usilnie nalegała, bym nazywał się „autystykiem” zamiast „osobą z autyzmem”, a także kazała mi medytować i pić herbatki ziołowe. Przy okazji sprawiła, że moja matka zaczęła obsesyjnie czytać horoskopy. Była to ogólna reguła: jeśli mój nowy psycholog/terapeuta/znachor nie traktował mnie jak dziecko, to okazywał się nawiedzonym szamanem.

Jedynym wyjątkiem była pani Dominika, do której poszedłem pięć razy w liceum. Ona naprawdę mi pomogła w kontaktach z ludźmi i pozbyciu się nadmiernego myślenia. Ale po pięciu wizytach wyprowadziła się z miasta.

„Uspokój się, przestań odgrzewać te stare sprawy”. Skupiłem się na poleceniu obecnej psycholożki. Jak wyobrażam sobie swoje życie za pięć lat? Na pewno wyprowadzę się od rodziców, którzy wysłali mnie do tego miejsca wbrew mojej woli i całe życie wmawiali mi, że nie mam prawa o sobie decydować. Najlepiej do innego kraju, może Holandii. Zmienię imię, by już nigdy mnie nie znaleźli. Będę mieszkał w jakiejś kawalerce z Leland, bo tylko na takie zakwaterowanie nas stać, ale poradzimy sobie. Może uda mi się znaleźć stałą pracę. Potem, kto wie?

Ostrożnie narysowałem uproszczonych siebie i Leland, trzymających się za ręce. Rysunkowy ja wyglądał o niebo lepiej niż w rzeczywistości, między innymi miał więcej włosów i się uśmiechał. Leland, jak zwykle, ubrana była w męskim stylu business casual i z okrągłymi okularami. Po chwili namysłu dorysowałem obok nas sfinksa, który przez moje umiejętności artystyczne wyszedł okropnie zdeformowany. Moja dziewczyna zawsze miała słabość do tych kotów.

Uśmiechnąłem się lekko. Już niedługo.

Przesunąłem rysunek w kierunku psycholożki. Wpatrywała się w niego przez chwilę, po czym spytała z uniesionymi brwiami:

– To ty i...? – Wygłosiłem polskie imię Leland. Zawsze go nienawidziła.

– Tak.

– Zamierzacie wziąć ślub?

– Eee... – Nie miałem ochoty zwierzać się z mojego życia osobistego tej kobiecie, ale chyba nie miałem wyboru. Zacząłem bawić się rękami. – Nie. Będziemy po prostu w związku.

– Rozumiem. Małżeństwo mogłoby być utrudnione przez...

– Nie, nie. Po prostu jakoś nam na tym nie zależy, wie pani. – Starąłem się ukryć irytację w głosie.

Psycholożka schowała materiały z powrotem do teczeki.

– To już wszystko na dziś – oznajmiła. Kolejny uśmiech. – Do zobaczenia za tydzień.

– Do widzenia – burknąłem, po czym wypadłem z pomieszczenia jak burza. Trzaskając drzwiami, szybkim krokiem ruszyłem w stronę głównego wyjścia.

Kiedy pierwszy raz tu przybyłem, miałem wrażenie, że ośrodek jest ogromny. Osiem pięter, spory garaż, setki sal, gabinetów i łóżek. Miejsca dla ludzi z najróżniejszymi przypadłościami, które tutaj badano. Widząc, jakie to wszystko było białe i nowoczesne, miałem nadzieję, że może tutaj w końcu ktoś mi uwierzy. Że posłuchają tego, co powiem, i mnie wypuszczą.

Teraz, po siedmiu miesiącach, ośrodek był tylko lśniącem więzieniem z wiecznym zapachem odkażalnika w powietrzu.

Mijając drzwi na oddział kardiologiczny, zobaczyłem Kornelię. Siedziała na plastikowym krzeselku obok przydzielonego opiekuna, miętołąc zabawkę antystresową. Mruknąłem szybkie „hej” od niechcenia, ale chyba mnie nie zauważyła.

Ciekawe, co ona myślała o tym miejscu?

W holu, pełniącym rolę zarówno recepcji, jak i miejsca spotkań, zgromadziło się całkiem sporo ludzi – typowe dla godziny dziewiętnastej we wtorki. Pacjenci i ich rodziny, przyjaciele, partnerzy, wszyscy kręcili się dookoła, rozmawiając głośno. Jakiś dzikus co chwilę wybuchał irytującym śmiechem, od którego miałem ochotę wbić paznokcie w skórę albo czymś rzucić.

„Gdzie jesteś, Leland?”

Przecisnąłem się obok śmierdzącego potem pacjenta z neurologii i jego dziewczyny, kierując się do wyjścia.

Na zewnątrz było całkowicie czarno. Lampy przy drodze dojazdowej ledwo przebijały się przez gęstą ciemność, powietrze było mroźne i gryzło mnie w twarz. Na miłość Boską, zapomniałem zabrać kurtkę z sypialni, a teraz byłem na dworze w cienkiej koszuli, dresach i kroksach. Myślenie jest czasem za trudne.

Wszedłem z chrzęstem na oszroniony trawnik, starając się nie wpaść na porozrzucane tu i ówdzie kamienie. Gdzieś na dziedzińcu było mętne oczko wodne, nie pamiętałem, przy którym wejściu. W pewnym momencie uderzyłem piersią o kamienny brodzik dla ptaków. No Jezus Maria.

Wtedy ją zobaczyłem, przy bramie, razem z paroma innymi ludźmi.

Leland. Moja dziewczyna, jedyna, która mnie zna, jedyna, która widzi mnie jako mnie. Stała oparta o ogrodzenie ze skrzyżowanymi ramionami i swoim domyślnym wyrazem twarzy, tj. „marnujesz mój czas, idź precz”. Po chwili mnie

zauważyła, a jej usta wykrzywiły się w grymasie, który miał udawać uśmiech. Coś takiego u niej oznaczało, że odczuwała intensywną euforię.

– Florian! – Rozłożyła ramiona, w które natychmiastowo wpadłem. Cała moja wściekłość zniknęła jak woda w odpływie. Leland pachnęła mieszkanką dymu papierosowego, jakiejś piżmowej wody kolońskiej i pomady do włosów (której nadużywała), dokładnie jak zapamiętałem. – Sorry, że nie mogłam przyjechać w zeszłym miesiącu. W pracy dzieją się u mnie jakieś bzdury.

– Nie szkodzi – odpowiedziałem. Przypomniałem sobie, jak bardzo się denerwowałem, kiedy mi to napisała. Bałem się, że tak naprawdę znalazła sobie kogoś lepszego, bez takich problemów jak ja. Niepotrzebnie.

– Co to ma być za strój? Morsujesz, czy co? – Leland zdjęła swój płaszcz i wcisnęła go na mnie. Pod spodem miała sweter, który kupiłem jej na ostatnie święta, z różową przypinką na piersi. – Masz ze mną jechać do Holandii zbierać tulipany, a nie umierać na zapalenie płuc.

– Jestem wytrzymały.

– No, taki wytrzymały, że prawie umarłeś na kolejce górskiej dla dzieciaczek.

– To był akurat wyjątek, wtedy nie spałem całą noc – próbowałem się wytłumaczyć, znowu sięgając po nitkę w rękawie. Po jednym pociągnięciu ją wyrwałem.

Na niebie chmury rozświetlał przepołowiony księżyc.

Kiedyś myślałem, że ta znajomość nie wypali. Leland przyszła do salonu fryzjerskiego, w którym pracowałem, i w trakcie cięcia zaczęła opowiadać o jakimś irytującym współpracowniku. Byłem w stanie (nieudolnie) ciągnąć rozmowę do przodu. Chyba powiedziałem coś zabawnego, bo po skończonej robocie powiedziała, że jestem niezły, po czym dała mi swój numer. Parę wspólnych wyjść i dwa wyznania później byliśmy już parą. Nigdy wcześniej nie byłem w związku i obsesyjnie przeglądałem artykuły typu „jak być dobrym chłopakiem”, żeby moje cechy – osobowości i od autyzmu – jej nie odstraszyły.

Ale minął już rok, a my ciągle byliśmy razem.

– Co tam w mieście, tak w ogóle? – zapytałem, patrząc na przejeżdżające w oddali samochody.

– Nic ciekawego. Wyprowadził się ten facet z góry, ten z psami. – Leland wzruszyła ramionami i wyjęła gumę z kieszeni spodni. – Otworzyli nowy sklep

naprzeciwko nas. I poznałam też te indywidualia. – Wskazała głową na pozostałych ludzi przy bramie.

Zmrużyłem oczy, by zobaczyć jakieś szczegóły. Około pięciu ludzi, mniej więcej dwudziestokilkuletnich. Część wpatrywała się we mnie, chyba z zaciekawieniem.

– Co to za jedni? – mruknąłem. Tym razem to nie wynik niezręczności, po prostu wyglądali na irytujących.

– Piszemy artykuły dla różnych portali – wyjaśnił młody mężczyzna z rozjaśnionymi włosami. – Jestem Mikołaj, miło cię poznać. Florian, tak? Leland nam o tobie opowiadała. – Podał mi rękę, którą niechętnie uściśnąłem.

– Aha. Czyli piszecie jakieś horoskopy, czy coś? – Nie ma się co silić na uprzejmość.

Dziennikarze spojrzeli na siebie, nie do końca wiedząc, co mają odpowiedzieć.

– Ostatnio piszemy serię artykułów o osobach, które zazwyczaj nie mają głosu w publice, bo ciągle mówi za nie ktoś inny – wyjaśniła kobieta z kolczykiem w nosie. – Na przykład ich rodzice. Leland wspominała, że masz autyzm i przebywasz w dziwnym, kontrowersyjnym ośrodku, właśnie przez twoich rodziców. Pomyśleliśmy, że może chciałbyś udzielić nam wywiadu.

Zerknąłem na Leland.

– O czym konkretnie? – zapytałem. Mój głos zabrzmiał strasznie pogardliwie.

– Wiesz, ogólnie o życiu, jak postrzega cię społeczeństwo, coś w tym stylu.

– Ech. – Włożyłem ręce do kieszeni. – Może. – Nie miałem ochoty być jakimś aktywistą ani symbolem autyzmu. Mimo to, wizja powiedzenia światu, że to, co mi się przytrafiło, nie było dobre... Może udałoby mi się stąd wydostać. – Ale bez nazwiska.

– Świetnie! – Kolejny członek wyjął dyktafon. – W ogóle, znasz jeszcze kogoś, z kim moglibyśmy przeprowadzić wywiad?

Zastanowiłem się przez chwilę.

– Tak.

Nina Scheucher

Wędrując

I chociaż nigdy się przecież nie wie
co mamy zrobić z krzykiem
co utkwił w nas cierniem oliwnego drzewa
gdy jesteśmy sami
wędrując do wioski Emaus
wystarczy nam wtedy
trochę minut i dni
zastygłych w pięści bursztynowej kropli
ostatni oddech pośród wrzosowisk
i pierwsza mgła wokół i w nas
by odkryć dla siebie znów cichy łąd
pokryty smugą cienia
kroczymy więc dalej
ostrożnie jak ślepcy w obrazie Holendra
pośród wieczystego niewiadomego
bo przecież do życia wystarczy nam cienka nić
babie lato czule łaskocze półwysep twojego policzka
wspólne spojrzenie pod wiatr
subtelna wilgoć dotyku
rozmowa przy stole
błysk i ciemność w słońcu i w deszczu
trwała obecność
aż do kolejnego zmierzchu
pewność że jesteś
życie tak bardzo chce żyć
codziennie silne jak feniks

Magdalena Kubiak

Wieczór: definicja

Powietrze było gładkie jak jedwab
Wpływałam na pozór spokojnie do portu wspomnień
Gdy raptem słońce utonęło w pospiesznej rejteradzie z tego świata
A księżyc bezczelnie meldował swą gotowość do nocnego aktu

Krajobraz tymczasem kąpał się w nierzeczywistości
Ściągając farby od francuskich impresjonistów
A ja brnęłam w odmętach słonej wody pośród silva rerum
moich niepozbiowanych wyrazów
przedzierałam się przez gąszcz liter jak masajski wojownik
nic nie robiąc sobie z faktu
że miękko i nadaremnie odpływam od utartego szlaku coraz dalej
w głąb siebie

tonęłam w zagłębiach myśli jak małe dziecko w gumowym baseniku
ludzie przechodzili mimo bezgłośnego krzyku co odzywał się we mnie
znieścacka bez pytania o zgodę

mijali mnie milczący tak jak się czasem mijają przydrożny kamień
sterczący tuż przy nodze roztargnionego spóźnionego przechodnia
albo jak omszały nagrobek z nieczytelnym już napisem
powietrze nagle zadrgało niecierpliwie pod wpływem księżycy
zgon tego dnia nastąpił łagodnie z przyczyn zupełnie naturalnych

Magdalena Kubiak

Deszcz

deszcz w początkowej fazie zmieszany z tłustym brudem tworzy
na jezdni cienką niewidoczną warstwę śliskiej mazi
wyrecytował mi ostatnio podręcznik ruchu drogowego
kwintesencja egzystencji drogi
perła rzucona przed zalęknione dziki wbiegające w popłochu istnienia
na smolisty asfalt
guma złapana zniecka na rozstaju gdzie pierwszeństwo nie jest
wskazane dla nikogo
bezdome kołpaki porzucone na zawsze przy poboczach szos
emanujące tajemnym światłem nieprzystępnej luno niczym blade
policzki przydrożnych świętych

bo kto powiedział że poezja musi być tylko literaturą usankcjonowaną
filologicznym dyplomem
ukrywającą się w artystycznym getcie w przepisowych tomikach
przeznaczonych nur für Goethe et consortes
wszak wewnętrzny krzyk poety ukrywa się czasem w instrukcji obsługi
mopa obrotowego
a ból ludzkiej egzystencji najtrafniej opisuje teraz sztuczna inteligencja
wynikła najczęściej z braku własnej

Magdalena Kubiak

Z dna wojny

spoglądam na pogięte żelastwo, owinięty drutem dotykam ciał
- powoli łączą się
z poczerwieniałym błotem i pleśnią, wbijają się w odłamki
jest tu głowa Gorgony - patrzę w jej oczy i nie kamienieję
- już dawno jestem z kamienia
jest mi jej żal
śledzę wzrokiem spadające krople,
wsiąkają w nieprzyjazną. chorą ziemię
giną w tłumie miliona innych
żał mi ich
słyszę cichnące dźwięki
zabija je jeden po drugim zła cisza - nie ma w niej nic miękkiego
i otulającego - ścina je jak
brzytwa jeden po drugim
mi mi ich, żal
z dna wojny
zmierch
chciałabym krzyczeć
nie umiem

Małgorzata Borzeszkowska

Żałoba

mówisz, że Penelopa lepiej sobie radzi z pustką? zawsze była zadaniowa
w tym beznadziejnym tłumie, który ją otacza całun jest jedynym
wyjściem

zawija się w cienką przędzę jak w wymówkę, nie ma czasu myśleć
tka i niszczy, tka i niszczy zajmuje czymś głowę, zimny tron
omija wzrokiem

walka o zasłużoną samotność wypełnia jej myśli, zresztą to się
kiedyś skończy

ten całun, czy inny, tak to właśnie się kończy

nie mów, że przesadzam, że czas odstawić kielich, przesadzić lewkonie
że ona w końcu wróci, tak jak zawsze wraca, że mi nie wypada i że to
żałosne

tak, najwyższy, być może masz rację, ale, do cholery to ja jestem matką
i będę świat okrywać i siebie okrywać czemią

obetnę włosy i poszarpię peplos, wszystko wokół zdechnie, zamrze
i zastygnie

pytasz dlaczego? bo tak właśnie chcę i podaj mi kielich
na imię mi Żałoba, nie żadna Demeter

Małgorzata Borzeszkowska

Nieobliczalne słońce

słońce jest zupełnie nieobliczalne

- niesprawiedliwe; tak samo intensywnie oświetla cebulaste wieże
podlaskich cerkiewek

i wysypiska, przebija się leczą przez kryształowe kieliszki i pęknięte
szyby w melinach

nie wiem dlaczego

i czym zasługują na jego czułość żmija na kamieniu i jednooki kot
ze świerzbowcem w uchu

dodaje koloru jabłku i letniemu kapeluszowi, plażowej piłce,
której brakuje oddechu

słońce nieobliczalnie przeciska się między zmarszczkami czasu.

zmarszczkami na mojej twarzy

otwieram okno - gładzi świat po głowie, kładzie palce na powiekach
zaciskam je mocno, łapię powidoki

słońce jest zupełnie nieodpowiedzialne - wciąż dolewa blasku do ognia

Małgorzata Borzeszkowska

Przypowieść o cichych świętych

Ktoś zbudował dom
z kamienia i milczenia,
na wzgórzu, gdzie wiatr
śpiewał ballady o czasach minionych.

Nie było tam okien,
tylko drzwi otwarte na oścież,
jakby gościnność była
jedyną modlitwą.

W tym domu mieszkali święci,
o których nikt nie słyszał,
ich imiona jak cienie
przechodziły przez ściany.

Nie nosili aureoli,
tylko ciężkie płaszcze
nasączone łzami
i nigdy nie modlili się głośno.

Ich cichość była darem,
nieśmiertelnością w śmiertelności,
a ich świętość
tajemnicą ukrytą w spojrzeniu.

Kiedy umierali,
nikt nie zapalał świec,
tylko wiatr płakał
nad pustym wzgórzem.

Grzegorz Chwieduk

* * *

W dniu, kiedy przyszło do mnie
słońce bez twarzy,
nie czekałem na ciepło.

Odkąd pamiętam,
wszystko, co znikало,
zostawiało cień.

Nie wierzyłem w cuda
ani w wiosenne przebudzenie,
tylko w milczenie nocy.

Kiedy wracałem po latach,
zamiast domów były dziury
w sercach i na ulicach.

Tutaj był kiedyś park,
tam plac zabaw.
A teraz?
Puste przestrzenie między ludźmi,
słowa niewypowiedziane.

W tym świecie bez barw
próbuję odnaleźć
choćby jeden uśmiech.

Ale w końcu odkrywam,
że i smutek
może być domem.

Grzegorz Chwieduk

* * *

Królowi na tronie z marmuru
z brodą siwą jak piasek
nie przysługuje prawo do błędu.
Nie przysługuje mu ani chwila wahania,
ani moment słabości, gdy w nocy
w samotności rozmawia z duchami.

Królowi nie wolno się lękać,
choć strach czai się w każdym cieniu,
w każdej szparze, gdzie kruki
krzyczą o zdradzie i znowie.
Królowi przysługuje jedynie stalowa wola,
której uczył się ćwiczyć od najmłodszych lat,
jakby to była sztuka.

Królowi na tronie z marmuru
przysługuje samotność,
a złote insygnia, które na niego włożono,
parzą bardziej niż ogień.

Zatem król czeka na zmierzch, na chwilę,
gdy w końcu złoży koronę na marmurze
i odejdzie, stając się jednym z tych duchów,
których słuchał w nocy,
bez imienia, bez tronu,
tylko z prawem do błędu.

Grzegorz Chwieduk

Wiolonczela

Przemierzaj cicho,
mój smyczku, stalowe
struny prawdy, gdy z mostu
i szyi opada nokturn snów.

Nocna i nieposkromiona pieśń,
jedyna na ziemi popiele
przelatuje nad gryfem
jak pasmo deszczowych chmur

Przemierzaj bezustannie,
struna po strunie -
jakby każda z nut winna
być w szeregu ostatnia.

Łącz się ze światem
i wypełniaj pustkę lat
targany dłonią spragnionego
malowniczego mroku.

I bądź śmiercią, smyczku
gdy przestaniesz grać,
zamilknie korpus i opadnie
głowa w piach.

Póki przemawiasz,
płynąc po pięciolinii fal,
słowa zaklęte w pieśń
grzmią ciszą absolutną.

Skąd w tobie tyle żywota
skrywa pamiątka klucza,
mój smyczku, gdy nokturn
szepcze o zapomnieniu dnia

Weronika Splawińska

Człowiekiem być

Człowiekiem być
ludzkim najbardziej i do granic
zwietrzałej, poszarpanej możliwości
pragnę nieustannie.

Cóż mi organ - serce umilić
raczy, gdy zewsząd wylewa się
stos rzek kloacznych i pod wodą
mętną nikoną mędrców głowy.

A jakże by się chciało,
marna krucha istoto, w oku
bliźniego dostrzec iskrę,
nie obwiędłe źdźbło

Powinnością szukać,
odnaleźć błędem w starej
księdze Bożych praw,
A jednak jakże się pragnie.

Niewiernie - bez zasad,
omijając definicje i zostawiając
same nazwy: Wątroba, palce,
oko, język i uszy.

Człowiekiem być
ludzkim najbardziej i do granic,
nie znaczy żyć i oddychać próżno,
ni to w martwym topić - się stawie.

Znaczy pragnąć,
żeby się ostało coś więcej w nas
niż wątroba, serce i stosy mas,
a ja pragnę tego tak
niewiernie.

Weronika Splawińska

Juliusz Cezar

Przechadzałam się jesienią
a bywało to w czas liści opadających
po skwerze z nożem w plecach
iście błyszczącym węzowym ostrzem

Pełzał po nim robak -
nieprzepoczwarzony motyl,
z rany z powiewem ulatywała
raz wściekłość, raz rozpacz...

Tłił się w kręgosłupie
niezrozumiały żar istoty
i niewiedza kto zdradził,
a kto był zdradzonym

Cezarze Juliuszu? -
szepnął kamienny krąg
i wtedy pojęłam skąd
moralny wziął się ból.

Czerwone kwiaty pode mną,
nad szare niebiosy wyblakłe
i te oczy skryte w gorejącym krzewie
wpatrzone w skraje duszy

Wlecze się Brutus za tobą
jak pies! - cóż to? ależ skąd?
skoro w plecach już ten ból
niemożność ucieczki poza ład.

Złożyłam palce - środkowy
i wskazujący i podniosłam nad
serce, lecz świat cały ucichł,
nie przybył nowy Bóg.

Ino ten ból w kręgosłupie
pojawił się po drugiej stronie
i ujął w spazmatyczny triumf
lisiego śmiechu.

A więc tak się ostało
jam jest nieśmierteiny
Cezar Juliusz.

Ulewą wartką świat
i dłonie jego obmył
strumieniem wody.

Weronika Splawińska

mieszkanie dla emocji

Złość gromadzi się na końcach
Zbitych lodem żeber.
Śnieżny płonie żar
Podczas zgrzytu zębów.
W udawaną gram grę,
By krzykiem nie wybuchnąć.

Strach osiada na koniuszkach
Każdego z palców obu dłoni.
Sinieją księżycze paznokci,
Stukają w brzeg stołu
Jak w maszynę do pisania
Atramentowego koloru.

Smutek splata wąskie obojczyki
I nadgarstki. Dźwięczy wisiorek,
Dźwięczy tuzin bransoletek.
Tylko bursztynowe koraliki,
Tylko osiwiwały sznurek
Przywołają delikatny uśmiech.

Radość wybucha na powiekach
Oprószonych truskawkowym cieniem.
Śmieją się bez troski usta
I oczy szczere, przed cierpieniem
Nutą wesołości owocowej zakryte.

Podeksycytowanie tkwi w stopach
Niespokojnie tupiących o bruk.
Chodź, biegnij, zobacz!
Interesujący każdy cud!
Szybko, ucieknie nam pociąg!
Och, jaki śmieszny piesek!
A tam sójki zataczają krąg
Nim letni opadnie deszcz!

A miłość – miłość przepływa
Jak rzeka prędką przez żyły.
Ból cały zakrywa.
Dudni serce głośno
Jak wagony o żelazne szyny.

Znalazły sobie mieszkanie –
Cała paleta barwnych emocji.
Chowam się za ubraniem,
By długie rękawy
Ostłoniły fale wybuchającej wrzawy.

Maria Stamirowska

żyć

Żyję dla niedojrzałych jabłek,
Których kruchy sok spływa
Wzdłuż mojego nadgarstka,
Gdy w jedno się wgryzam
I dzielę z psem.

Żyję dla pierwszego łyku
Świeżego od rosy powietrza
Po zgęstniałych szeptach nocy,
Gdy duszona lękiem
Chowam się pod różowy kocyk.

Żyję dla wczorajszego bukietu
Z fioletowej koniczyny
I złotych kwiatków bez imienia.

Żyję dla słodkiego zapachu
Lepkiej olejnej farby.
Przesiąkła nim moja sukienka
I pokój cały.

Żyję dla jazdy na rowerze.
Zbyt szybkiej. Nieostrożnej.
Liśmi przez las, bo przecież
Tam ostrzejszy będzie skręt.

Nie mam siły żyć życiem.
Żyję więc każdą drobną chwilą,
Bursztynowym śmiechem
I marzeniem śpiącym daleko stąd.

Maria Stamirowska

Taniec

Duszę się ziołową mieszanką
Miętowej, palącej złości,
Zbłękitniałego smutku,
Strachu i niepewności.

Serce dudni szybciej
Od stada młodych mustangów.
Płuca rozpala gorzki kurz
Nigdy niewypowiedzianych słów.

Czuję, że oczy zachodzą mi mgłą.
Nie opada jednak żadna łza.
Pragnę wrzeszczeć, kopać, kłąć,
Płakać, zniknąć, uciec w dal.
Muszę wydostać kłębowisko myśli,
Zdarzeń wczorajszych i upokorzenia
Poza swoją wymęczoną duszę.
Zrywam firankę łagodnego milczenia,
Zrzucam codzienny strój.

Wciągam prześliczne baletki –
Świat wiruje w drugą stronę.
Włączam odtwarzacz – nuty piosenki
Przeganiają rubinową trwogę.

Śpieszę się z rozgrzewką.
Chcę już wirować, skakać,

Powtarzać – arabesque, jeté,
Szpagat, przewrót w tył...

Rwie się mój oddech
Od wysiłku złożonych kroków.
Łapię podłogi brzeg
Naznaczonej setką moich tanecznych słów.

Nie krzyczę. Już nie.
Oto mój krzyk: przetańczone
Godziny krótkie dwie.
Bez partnera, bez nauczycielki.
Tylko ja, ja i ja.
Moje delikatne kroki, moja kontrola
Każdego drobnego mięśnia.
Moje skórzane baletki.
Mój rozlany w choreografii
Ziołowy napar zdrad.

Maria Stamirowska

Po cóż mi to?

Po cóż mi to?

Te zgięte płuca i ściśnięta przepona,
Zamiast nich pograłbym na harfie,
Te supły w gardle, ma krtań gotowa!
Zamiast niej pływałbym w rafie

Po cóż mi to?

Ten strach przed życiem i płochliwość,
Zamiast tego, koncert na scenie i duma,
Ten zacny motyl w brzuchu i miłość,
Zamiast niej samotność i żalu mi suma

Po cóż mi to?

Ten utwór jest pisać przez jakąś wenę,
Zamiast niej, smak wolności i spokój,
Ten wers kończyć i mieć dalej tremę,
Zamiast niej spać pójść w cichym mroku

Jakub Swat

Umysł a fraszka

Skonawszy wewnątrz rozmyślania wienie,
Gdzie huragan łez zmienia się w deszcz,
Oczy tego ciężaru, nie są w stanie znieść,
Nęka je pustka, wilgoć i nędzne utrapienie,

Chaos myśli opętał twą wolę,
Serce niczym wulkan wybuchło pełne lawy,
W żyłach twych iskry poczęły się żarzyć,
Straciłeś empatię, cierpliwość i pokorę,

Wewnętrzny głos rozrywa twą czaszkę,
Pamięć wyblakła jak kwiat zaniedbany,
Nie widział on słońca, nie był podlewany,
Uczucie to można opisać - jak fraszkę

Jakub Swat

Wody

To nie Antarktyda, mróz przeplata twe warkocze,
Powiew wiatru rozhuścił obraz marzeń ciepłych,
Zamiast nich posiadasz w ręku parę sopli ciekłych,
Lód dotknął i twego serca – powoli je łaskocze,

Odkrywszy przez gęstą mgłę malutkie poidelko,
Uklękaś powierzając nadzieję ku niemu na lodzie ,
Oprócz marzeń pamiętałaś o pitnej, letniej wodzie,
Pochyliwszy się widziałaś tylko lodowe lusterko,

W nim panna płasająca po gorącej Saharze boso,
Brak płaczu, na jej tle tylko lód topiący się pluskał,
Policzki twe zamarzły, a krople na lustrze uschły,
Idziesz więc spragniona dalej, i szukasz ciepła nocą

Jakub Swat

Cichy szept, różne głosy, nieliczne krzyki

Jeden szept, dwa głosy, trzy krzyki
Uwagę mi zabiera, rozprasza mnie ciągle
Codziennie w pamięci robi zaniki
Inaczej zacznę patrzeć, na sama siebie
Echo głosów zawsze gdzieś jest
Kładąc się w łóżku, idąc w trzciny
A głosy głośniejsze, straszniejsze, niby test
Jednak nie stracę rozumu, to są jakieś kpiny

Jeden głos, dwa słowa, trzy sylaby
Zaprasza mnie on, lecz nie wiem gdzie
Ajego pomysły zabicia mnie za czarne bramy
Bramy piekła
Obiecuje, że zabierze mnie
Igły w głowic, ostre myśli,
Czy są one moje?
Jeszcze się powtarzają, nadal nakłaniają

Sens życia.
Czy posiadam ?
Inne jego słowa mnie pochłaniają
Echo puste się odbija i powtarza

Jedna osoba, dwa zdania, trzy opcje
Przybory leżą na podłodze
Kładę się z nimi, czy w ogóle są moje?
Ostatnia opcja znajduje się przy płocie
Czego tylko ode mnie potrzebują to skok
Zaprasza mnie on, posłucham głosu

Julia Mrozińska

Krzyk bez głosu

Nie przychodzi spod łóżka, ani zza drzwi
Nie - ono czeka w cichych miejscach, gdzie ciemność lśni
Gdzie myśli skaczą wolno, cisza się śmieje
Czy nie czujesz tego w nocy?
Pusty oddech na szyi, mokre gęste powietrze
Po cichu, śpiewa krwawe wiersze
Na początku było nawet miłe, niczym sen
Szeptaly twoje własne myśli
Małe szczegóły odwrócone, drobne zwątpienia
Zamknęłaś drzwi? - tego typu brzmienia
czy zrobiłaś komuś dzisiaj krzywdę?
Czy głupi zarobiłaś kolejną jedynkę?

Przekręca twoje myśli, jak dzieci karuzelę
Aż się gubisz, jak na obcej scenie
Ono się karmi twoimi pustkami w pamięci
Twój język wypowiada słowa, których nie słyszałeś
Echo głosu wewnątrz widziałeś
Lecz śmieje się tak cicho
Napisane na kartce, tak jak ty, to samo pismo
Powoli wszystko się rusza
A rzeczywistość na wycieczkę wyrusza
Czy ten cich od zawsze tam stał?
Czyżby tamten zegar słowa brzmiał?
W lustrze widać coś za twoimi oczami
Stoi, śmieje się, podchodzi krokami

Twoje imię wywoływane w szparach
Brzmi jak piękna piosenka w twoich koszmarach
Za każdym razem, odrobinę głośniejszej, odrobinę bliżej
Aż jego ciężar leży na twojej klatce zimnej

Ono nie musi się pokazać,
Wystarczą jego myśli, jego obecność, by rozpadać
Zapyta cię nagle pytanie
A ty odpowiesz on wygranie

Kiedy stanie przed tobą w odbiciu
Nie opowie dowcipu
Nie uśmiechnie się
Nie przywita cię
Będzie tylko patrzeć
Jakby chciał wprost w żyły zajrzeć
Takim sposobem resztki ciebie odpadną
I staniesz się ciszą w której żrą

Nie ma płaczu, krzyk niemy
Nie ma walki, niczego już nie wiemy
Świat powoli, w ciemności się zamyka
Twój własny głos, odwrócił się i ucieka

Julia Mrozińska

Jesteś brudna...

Wiem, że jestem.

Myję ręce, nie schodzi, tre skórę

Nadal czuję jego ręce, trzymają, związują

Wystarczy, że zapomnę , lecz słowa mordują

Mówił, że nie chciał...

Mówił, że to wypadek...

kilka razy się stało, to niejest przypadek!

Jeśli komuś powiem, to nie uwierzą

Będą tylko patrzeć.

Ręce myję, słuchawki zakładam

nie dawaj się tak wykorzystywać,

Błagam!

Ale on jest silniejszy, i zrobi mi krzywdę

Już zrobił. . .

Mego ciała się brzydzę

Nie mogę zapomnieć; chcę spać.

Usta pomalowane krwią, czystość splamiona

Własnej niewinności pozbawiona

Nie mogłam nic z tym zrobić.

Czyli chcesz się na to po prostu zgodzić?

Nie chcę tego, niech mnie zostawi.

Słowa, szczepiy wieloma głosami

Jak lis odgryzł mi mięso od kości

Wszystko już zabrał

Proszę, litości !

Dałam radę, pozbierałam się od nowa

Stoję!

Ale już nigdy nie będę zdrowa

Julia Mrozińska

Okiem Jurora

Ależ ten czas szybko płynie! I ucieka! Nawet się nie oglądaliśmy a to już dziewiętnasta edycja konkursu literackiego „Powiew Weny”. W tym przypadku czas działa na korzyść tego wydarzenia. Jego powtarzalność sprawia, że konkurs na dobre zagościł w kalendarzu najważniejszych imprez literackich województwa pomorskiego. Jury co chwilę wyławia nowe talenty pisarskie, a w niektórych przypadkach ma przyjemność czytać autorów, którzy byli już nagradzani w latach wcześniejszych, co jest wyłącznie znakiem potwierdzającym ich talent.

Jak co roku konkurs ogłosiła Miejska Biblioteka Publiczna im. Aleksandra Majkowskiego w Wejherowie. Tym razem pisarki i pisarze nadesłali 37 zestawów prozatorskich i poetyckich. Prace zostały podzielone na dwie grupy wiekowe. Pierwsza skierowana do młodzieży uczącej się w szkołach średnich, druga do dorosłych powyżej 20 lat. Uczestnicy konkursu mogli wybrać między prozą a poezją.

Tym razem mottem 19 edycji konkursu literackiego „Powiew Weny” był cytat z twórczości Czesława Miłosza „Nigdy nie wie się, co poradzić z tym krzykiem, co odzywa się w nas samych”. W tym krótkim zdaniu zawarty jest ważny przekaz, który prowokuje do najpoważniejszych przemyśleń, próbujących zmierzyć się z kondycją naszego człowieczeństwa, a może nawet stabilności lub właśnie niestabilności ludzkiego umysłu. Słowa jednego z najwybitniejszych poetów XX w. to też swoisty krzyk protestu na zastaną rzeczywistość, reakcja jednostek wrażliwych na brak wrażliwości ogółu.

Czytając nadesłane teksty jury zauważyło, że zdanie Czesława Miłosza zainspirowało konkursowiczów do podejmowania ważnych, niebanalnych tematów takich jak m.in.: wojna, żałoba, rozpad związku, ostatnie chwile życia, zmaganie się z wewnętrznym głosem własnego umysłu. Brzmi trochę ponuro, ale biegłość literacka uczestników konkursu sprawiła, że jury czerpało prawdziwą przyjemność z czytania nadesłanych prac. Należało jednak wybrać te najlepsze.

I tak pierwszą nagrodę w kategorii proza młodzieży otrzymała Weronika Chyła za opowiadanie o młodocianym mordercy. To wnikliwe studium psychologiczne. Ukazujące przemianę psychiki głównego bohatera z załęknionej osobowości, która pod wpływem prześladowań rówieśników, staje się jednostką dążącą do odwetu. Wybór pierwszoosobowej narracji zaprasza czytelnika do wglębnienia się w mroczne myśli głównego bohatera. Sugestywnym opisom mentalnych rozterek towarzyszą brutalne sceny przemocy. Mocna proza, zapowiadająca prozatorski talent.

Laureatka drugiej nagrody Maja Kubisiak zaprasza nas do karkołomnej zabawy w szpiegowską opowieść. W opowiadaniu, pt. „Nieprzewidywalność życia” proponuje różnorodność formalną. Narracja trzecioosobowa, wszystko- wiedząca, przeplatana jest fragmentami narracyjnego monologu, zwróconego bezpośrednio do czytelnika. Ciekawe są też manipulacje z fabularnym czasem i miejscem akcji. Niektóre wydarzenia dzieją się wcześniej, choć jako czytelnicy czytamy je później, natomiast miejsce wydarzeń rozpięte jest pomiędzy Gdańskiem i Berlinem. Fascynuje też bogactwo przygód, które spotykają głównego bohatera. Otrzymujemy świetnie napisane opowiadanie sensacyjne, uwodzące zawilą intrygą.

Nina Scheucher opowiadaniem, pt. „Lśniące więzienie” zajęła trzecie miejsce. I tym razem otrzymujemy tekst próbujący wniknąć w ludzki umysł. Autorka bardzo sugestywnie opisuje odbiór rzeczywistości przez osobę z autyzmem. Otrzymujemy świetną rozmowę głównego bohatera z psychologką szkolną. Doskonale też są ukazane jego relacje z rówieśnikami oraz znaczenie miłości. Wnikliwość psychologiczna tekstu oraz wysoki poziom dialogów i sytuacyjnych opisów, zostały zauważone i docenione przez jury.

Poezja młodzieży stała na równie wysokim poziomie co proza. Oczywiście w jej ocenie nie decydowała atrakcyjna fabuła i koncept, lecz ta wyjątkowa „iskra”, która zapala się w chwilach szczególnej epifanii.

Maria Stamirowska, laureatka pierwszej nagrody w kategorii poezja młodzieży, zaproponowała lirykę w pełni dojrzałą, zrytmizowaną, wystrzegającą się rymów. Jej wiersze są swoistymi wyliczeniami, katalogami z oryginalnymi metaforami, dzięki którym poetka, np. opisuje rozczłonkowanie emocji na poszczególne części ciała czy wymieniania sytuacje

będące apoteozą życia i równocześnie refleksją nad przemijaniem. Poezję tą charakteryzuje prostota przekazu, sprawiająca, że wiersze są w pełni zrozumiałe, a jednocześnie pozbawione banału. To liryka roztańczona, która pomaga zrozumieć nie tylko otaczającą rzeczywistość, ale też tę subtelniejszą, wewnętrzną, immanentną. Choćby wtedy, gdy opis tańca w jednym z wierszy staje się formą psychologicznej autoterapii.

Wysoki poziom liryki, przesłanej przez młodzież na tegoroczny „Powiew weny”, sprawił, że jury zdecydowało się przyznać dwie równorzędne nagrody drugie.

Jakub Swat otrzymał nagrodę między innymi za wiersze wyjątkowo zdyscyplinowane formalnie. Lecz nie forma tej poezji jest najważniejsza, lecz tematy i sposób ich ujęcia. Poeta zadaje filozoficzne pytania o sens istnienia, zastanawia się nad niestabilnością naszego umysłu i ulotnością pamięci. Nurtuje go też problem relacji międzyludzkich. Dla przykładu stosując metaforę podróźniczki spragnionej wody, ukazuje pragnienie życia z drugą, przyjazną osobą.

Z kolei trzy wiersze przesłane przez Julię Mrozińską, która również zdobyła drugą nagrodę, układają się w cykl skupiony na lirycznej analizie wewnętrznych głosów. Rytm poszczególnych wersów i zgodność pełnych rymów pod wpływem podjętego tematu, często ulegają formalnemu rozchwianiu. Poetka co chwilę przelamuje regularną frazę, podkreślając w ten sposób emocjonalne nacechowanie neurotycznych pytań. W tych wierszach podejmowany jest wewnętrzny dialog z własnymi niepokojami, z głosami, przebijającymi się za postacie, będącymi przecież wytworami umysłu. W swojej poezji Julia Mrozińska rozszerzyła znaczenie motta tegorocznego konkursu, co nie umknęło uwadze jury. Stąd też i nagroda.

Tyle o młodzieży. Czas prześledzić propozycje nadesłane przez dorosłych. W prozie jury zdecydowało się na przyznanie dwóch zamiast trzech nagród. Decyzję tę podyktowało przeświadczenie, że w tegorocznym konkursie liryka dorosłych stała na tak wysokim poziomie, iż zasłużyła na dodatkową nagrodę, kosztem nagrody dla prozy.

No to w prozie dorosłych pierwsze miejsce zdobyła Monika Kubisiak za opowiadanie, pt. „Kobieca logika”. Autorka skupia się na temacie kryzysu

małżeńskiego, jednocześnie proponując nieszablonową zagadkę kryminalną. Kolejne decyzje bohaterów oraz konsekwencje tych decyzji odsłaniają się stopniowo. Czytelnik płynie przez tekst, zresztą bardzo dobrze napisany, z nieustającym zainteresowaniem. Poszczególne elementy układanki w finale opowieści składają się w zaskakującą, logiczną całość.

Tomasz Magulski otrzymał drugie miejsce za opowiadanie, pt. „Zakład”. Tytułowy zakład, polegający na walce o duszę stanowi klamrę, w obrębie której rozgrywa się fabuła. Gdy główny bohater przebudza się w miejskim szpitalu i dowiaduje się, że ma raka trzustki, wydaje się, że to ostateczny wyrok, który skaże go na wieczne potępienie. To jednak prowokuje go do rachunku sumienia, który powoduje zbawczą przemianę. Otrzymujemy oczyszczającą przypowieść o arogancji z jaką niektórzy traktują życie i możliwości odkupienia swoich win.

Wreszcie poezja dorosłych. Jak już wcześniej wspomniałem. Jury przyznało poetkom i poetom aż cztery nagrody.

I tak Magdalena Kubiak została laureatką pierwszej nagrody w kategorii poezja dorosłych. Jej liryka obfituje w nawiązania do motywów biblijnych oraz malarstwa europejskiego. Dla przykładu, nawiązania do impresjonistów pozwalają poetce w wierszu „Wieczór: definicja” mnożyć niepowtarzalne metafory i porównania, których efektem jest refleksyjny wgląd we własne wnętrze. Wtedy autorka przyznaje, że odpływa „od utartego szlaku coraz dalej w głąb siebie” albo tonie „w zagłębieniach myśli jak małe dziecko w gumowym baseniku”. W ogóle jest to poezja tematycznego bogactwa i intertekstualnej zabawy, choć całkiem na serio, z kulturą i sztuką. Jest to też liryka krytyczna wobec dokonujących się przemian, poważnie zadumana nad kondycją ludzkiego intelektu i wrażliwości, które człowiek z bezmyślną nonszalancją oddaje w posiadanie sztucznej inteligencji.

Natomiast drugą nagrodę za zestaw poezji otrzymała Małgorzata Borzeszkowska. W swoich wierszach poetka, nawiązując między innymi do tropów mitologii greckiej, porusza tak ważne tematy jak wojna czy żaloba. Wszystkiego jest tu w niepokojącym nadmiarze. Tu nawet słońce z pozoru przyjazne, staje się zagrożeniem, gdy „wciąż dolewa blasku do ognia”. Pesymistyczna treść tej poezji została ujęta w precyzyjnie przemyślaną formę,

gdzie zmienna długość poszczególnych wersów, odpowiada stanowi emocjonalnemu podmiotu lirycznego. Zapis przypomina krzyk, któremu zaczyna brakować oddechu, co idealnie oddaje sens motta tegorocznego konkursu.

Trzecią nagrodę otrzymali, ex aequo, Weronika Spławińska oraz Grzegorz Chwieduk.

Weronika Spławińska zaproponowała lirykę ascetyczną w formie, ale przepelnioną znaczeniami. Poetka z pełną świadomością stosuje środki ekspresji językowej, jak choćby jakże trafne oksymorony, gdy przekonuje, że „słowa zaklęte w pieśń // grzmią ciszą absolutną”. Jest tu o muzyce i powinnościach człowieka a nawet wędrownka w czasy władców rzymskich, gdy umierający Juliusz Cezar z zaskoczeniem stwierdza, że nie jest nieśmiertelny.

Natomiast Grzegorz Chwieduk proponuje nam lirykę głębokiej zadumy. W „Przypowieści o cichych świętych” gloryfikuje medytacyjną skromność. W kolejnym wierszu kontempluje smutek, wywołany przez obserwację i uczestniczenie w zmianach, jakie narzuca nam czas. Odkrywa jednak przy tym, że „i smutek może być domem”. Poezja Chwieduka jest poezją zgody na działanie nieuchronnego. Uczy akceptacji tego, na co nie mamy wpływu. To wciąż ponawiane próby zachowania spokoju w obliczu wspólnego nam wszystkim losu, którym jest uczestniczenie w przemijaniu.

I to byłoby na tyle. Dziewiętnasta edycja konkursu „Powiew weny” za nami. Ale już za rok spotkamy się po raz dwudziesty! Nie mogę już doczekać się tego jubileuszu. A wy? Zapraszamy do nadsyłania wierszy i opowiadań!

Daniel Odija

SPIS TREŚCI

Krzysztof Hildebrandt - <i>Drodzy Czytelnicy</i>	3
WYNIKI KONKURSU	5
Monika Kubisiak - <i>Kobieca logika</i>	7
Tomasz Magulski - <i>Zakład</i>	18
Weronika Chyła - * * *	29
Maja Kubisiak - <i>Nieprzewidywalność życia</i>	35
Nina Scheucher - <i>Lśniące więzienie</i>	44
Magdalena Kubiak - <i>Wędrując, Wieczór: definicja, Deszcz</i>	51
Małgorzata Borzeszkowska - <i>Z dna wojny, Żaloba, Nieobliczalne słońce</i>	54
Grzegorz Chwieduk - <i>Przypowieść o cichych świętych, ***, ***</i>	57
Weronika Spławińska - <i>Wiolonczela, Człowiekiem być, Juliusz Cezar</i>	60
Maria Stamirowska - <i>mieszkanie dla emocji, Żyję, Taniec</i>	67
Jakub Swat - <i>Po cóż mi to?, Umysł a fraszka, Wody</i>	71
Julia Mrozińska - <i>Cichy szept, różne głosy, nieliczne krzyki, Krzyk bez głosu, Jestem brudna...</i>	74
Daniel Odija - <i>Okiem jurora</i>	79



Laureaci XIX Wejherowskiego Konkursu Literackiego Powiew Weny
z Zastępcą Prezydenta Miasta Wejherowa i Jurorami



Miejska Biblioteka Publiczna
im. Aleksandra Majkowskiego
w Wejherowie

ISBN 978-83-974071-7